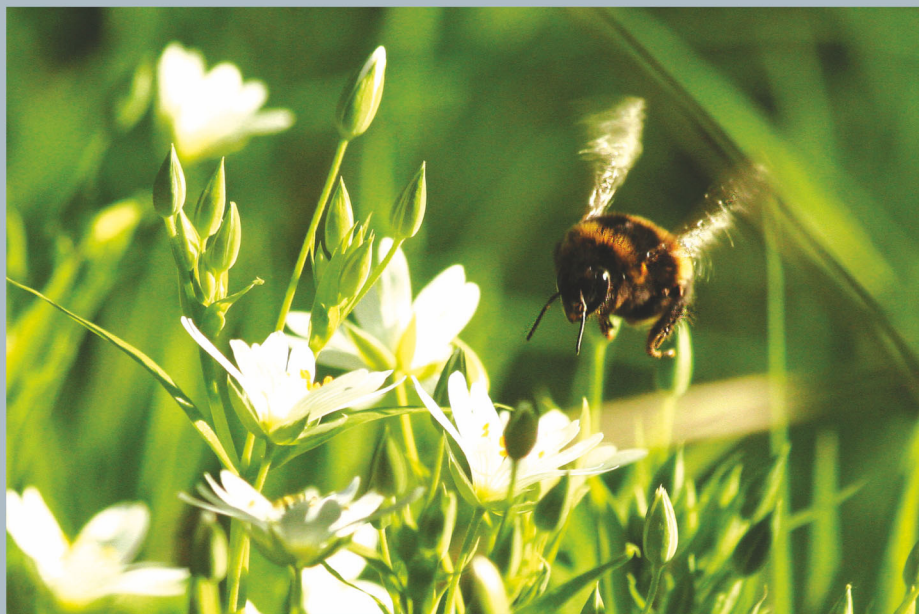




Karmić się słowem

Piąta antologia Stajni Literackiej SPP

Warszawska Szkoła Pisania
Stajnia Literacka SPP
<http://spp.warszawa.pl>
stajnia@spp.warszawa.pl



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

Aula

WYDAWNICTWO

ISBN 978-83-61765-28-8



9 78 83 61 76 52 88 >

Karmić się słowem

Karmić się słowem

Piąta antologia Stajni Literackiej
Warszawskiej Szkoły Pisania
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

© Copyright by Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Oddział Warszawa, 2025

Redakcję, projekt graficzny, typografię i skład
oraz recenzje wydawnicze
wykonał w darze dla Stajni Literackiej SPP

© *Piotr Müldner-Nieckowski*

Projekt okładki

© *Wydawnictwo AULA*



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa

Aula

WYDAWNICTWO

ISBN 978-83-61765-28-8

Warszawa 2025

Wydanie I

Koedycja:

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, Warszawa, biuro@sppwarszawa.pl
Wydawnictwo AULA, Podkowa Leśna, aula@home.pl

Druk: Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Ciurlionisa 4, www.mcpdruk.pl

WSTĘP

Witamy w piątej publikacji naszej Stajni

Jedna z naszych koleżanek powiedziała, że mimo wieloletniego korzystania z warsztatów Stajni nadal chętnie przychodzi na nasze spotkania, bo lubi *karmić się słowem*. Podoba nam się ta pradawna metafora, dlatego tak nazwaliśmy ten tomik, a ponadto zamieszczamy mikroesej pt. *Rzecz o słowie*, napisany przez Walentynę Karwowską, członkinię Stajni od początku, to jest od 2012 roku.

Antologia Stajni Literackiej Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (OW SPP), istniejącej w ramach Warszawskiej Szkoły Pisania SPP (WSP SPP), powstała tradycyjnie jako materiał dokumentacyjny, ale nie bez ambicji artystycznych. Teksty tu zawarte należą do literackich kategorii głównych – poezji (z jej odmianami piosenkową, haiku i fraszkową), prozy, zarówno narracyjnej, jak i eseistyczno-felietonowej, oraz dramatu. Podkreślamy, że jesteśmy tu całkowicie niezależni, wolni od zakazów, nakazów, narzutów, pęt artystycznych, ideowych czy politycznych z wyjątkiem tych ograniczeń, które wynikają ze zwykłej przyzwoitości i dekalogu; każdy autor reprezentuje siebie.

Autorzy osobiście wybrali i dostarczyli prace, które uznali za godne druku w tej publikacji, całość zaś ma charakter potwierdzenia uczestnictwa w swoistej szkole, która obecnie skupia ponad 30 uczestników. W ciągu minionych 14 lat przez naszą salę wykładową (z jej mikrofonami, ekranem i tablicą) łącznie przewinęło się ponad 410 osób. To spora grupa przyjaciół. Często nas odwiedzają, a także komunikują się wzajemnie jako starzy dobrzy znajomi i nosiciele pewnej niepowtarzal-

nej tajemnicy. Zdarza się, że to oni dominują w licznych konkursach poetyckich w Polsce.

Osoby, które nie wzięły udziału w Antologii, uważają, że jeszcze nie osiągnęły odpowiedniego poziomu twórczego. Jest też grupa takich, które uznały, że dzięki warsztatom w Stajni bezboleśnie dowiedziały się, że nie mają na tyle talentu, aby pisać literaturę artystyczną, ale mimo to z przyjemnością uczestniczą w spotkaniach i warsztatach. Chcą nabierać doświadczenia w rozumieniu sztuki pisarskiej, w interpretacji i komentowaniu literatury, a także w jej recenzowaniu i wspieraniu medialnym albo środowiskowym, choćby w klubach kultury w różnych rejonach Polski.

Dziś warto też podkreślić, że Stajnia wydała inny realny plon, mianowicie w postaci grona kilkudziesięciu osób z różnych okolic kraju, nie tylko z Warszawy, przyjętych do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. A przecież uzyskanie kwalifikacji członka naszej organizacji nie jest łatwe. Spośród uczestników Stajni rekrutują się także licealni nauczyciele języka polskiego, dziennikarze, a nawet doktoranci i doktorzy polonistyki.

Poprzednie tomiki, a były to *Coraz lepiej* (2012), *Co jest pisane* (2016), *Piszemy* (2019) i *Do czytania* (2023), przedstawiają we wstępach naszą historię, jej skomplikowane zaplecze. Ich zawartość można poznać na stronie Stajni

<https://spp.warszawa.pl>

Wszystkim się kłaniamy i pozdrawiamy serdecznie.
Owocnej lektury!

*W imieniu Oddziału Warszawskiego SPP
prof. dr hab. Piotr Müldner-Nieckowski
opiekun i wykładowca Stajni Literackiej SPP
wiceprezes OW i ZG SPP*

Ewa Antolik

O nic nie proszę więcej...

Biała sala, żelazne łóżko
dopiero weszłam
a chciałabym już wybiec

trzymasz mnie mocno za rękę
w twoich oczach jest lęk i ufność

boję się, że trafię na czyjś zły dzień
będzie dobrze tłumaczyć
gdy pytasz kolejny raz

nic nie będzie bolało
no może jedna igielka

niepokój wzrasta
wiem, że już się zaczyna
ale przecież jestem w dobrym miejscu

chyba jednak... nie byłam
ból rośnie patrzę na twoje
przerażone oczy

chyba uznano mnie za nadgorliwą
obca biała sala, moje zagubienie
twój ból i cisza

mijają godziny i nadal cisza
zmęczony na chwilę zasypiasz

igielka zamieniła się w igłę
i to nie jedną zawiodłam
jutro już wiem nie będzie lepsze

oddział zasypia
a my prosimy o sen i pozytywne myśli

rano wyczerpani

bez poczucia bezpieczeństwa
szukamy zrozumienia
ty we mnie
ja w przypadkowych ludziach

narkoza... czekanie...
i głos wracający jak bumerang

no i po co ona tu siedzi
po co ona tu siedzi

nie poddaję się czekam
wpatrzona w twoją twarz
w mojej głowie tysiące pytań
i modlitwa
wreszcie ulga słyszę twój głos

za chwilę długą chwilę
będziemy już wiedzieć

czekam na wiadomość
dobrą wiadomość
o nic więcej nie proszę

Oddalenie

odeszłam już dawno
nie umiałam się tylko oderwać

chwil jeszcze kilka tkwiłam
zatrzymana
lukrowanym wspomnieniem

z czasem zniekształciły je
łzy niezrozumienia

byłam jak nić babiego lata
gotowa na zniszczenie

już wiem że rozstanie
było nieuniknione

dążenie na wyspę spokoju
z tobą

nie mogło się udać

Zagubione marzenia

Uciekły mi marzenia
oplotem babiego lata
poszybowwały w nieznane
może zatrzymane źdźbłem trawy
lub głazu szczeliną
czekają na zawiedzionych
by wplątać się w ich myśli
tworząc im wizje przyszłości

moje marzenia chwilę niczyje
bez nich zastyga mi przyszłość

ktokolwiek widział
ktokolwiek czuł
proszony o zwrot
adres stały
trwam w miejscu
gdzie je zgubiłam

Henryk Ditchen

Ona oziębła

Ona oziębła, lecz on nie słaby,
Jej mocne credo – miłość zwodnicza,
Ona – kokietka, on – pies na baby,
Ona intryguje, on zalicza.

On wpatrzony w toń kobiecych źrenic,
Ona uśmiecha się spod woalki.
On tworzy kolekcję swych kochanic,
Ona wciąż drażni, płoszy rywalki.

I stało się tak, że się spotkali
Zły rozpustnik i zalotnica zła.
Renomy postawione na szali
Ona z nim chętnie na udry poszła.

Jak pająk utkał on pajęczynę,
Ona jak osa – insekt drapieżny.
Nie czekajcie na rezultat inny –
Został pożarty ten czaruś mężny.

Moje myśli jak ptaki

Myśli są jak ptaki
klębią się w głowie,
rozpościerają w powietrzu,
dotykają nieba i zaświatu,
stykać się z myślami
kochanych i bliskich
tak zmarłych jak i żywych.
Albo, jak żurawie, lecą
hen daleko poza horyzonty
okraczają cały świat...
Niosą pociechę, która
napelni otuchą
i roznamiętni serce,
albo obudzi emocje, które

ścisną duszę niepokojem.
Nie zadręczajmy się bezustannie,
bo myśli determinują –
kim jesteśmy i kim
będziemy w przyszłości...
Szczęście nie przychodzi z zewnątrz,
zależy od tego, co jest w nas samych.

Dłonie

Chwila w uniesieniu splonie...
Wiosną, gdy kwitły jabłonie
Zagłębienie w oczu toni
Splotło bojaźliwe dłonie.

W uszach głośno biły dzwony,
Gdy najszcześliwsze na globie
W zauroczeniu szalonym
Serca miały się ku sobie.

Pierścionek dany w ukłonie,
Orszak ślubny w słodkiej woni.
Połączone stulą dłonie
Mknęły karetą w sześć koni...

Nie patrzenie w oczy żonie
Z wolna uwalniało dłonie
Pierwszą rysą – flirt na stronie,
Ból zdrad gorzkie lzy uronił.

Drżą w osieroconym gronie
Dzieci porzucone dłonie...
Niby zdeptał tabun koni
Różowe płatki jabłoni.

Hanna Fołtyn

Potop

Pada i pada,
ludzie szepczą
że to pewnie potop,
co bogatsi
już się zaokrętowali,
zabrali ze sobą
psy, koty
i niektórych przyjaciół,
osiadą kiedyś
na przypadkowych górach,
przeżyją,
a potem zaczną się mnożyć.

My jeszcze pływamy,
unosimy głowy nad wodą,
jeszcze nie tracimy nadziei,
ale nogi i ręce omdlewają,
wkrótce przestaniemy walczyć,
zmęczeni,
utoniemy.

Co będzie,
gdy wody się cofną,
to już nie nasza sprawa.

Poeci

Poeci noszą
wiersze w kieszeniach,
piją alkohol,
kochają kwiaty,
wplatają w życie
swoje marzenia
tworzą na kartkach
wyśnione światy.

Leopold

I

Telefon obudził Helenę przed siódmą rano. Teraz po pięćdziesiątce nie była tak szybka i zrywna, żeby natychmiast odbierać. Wyrwana ze snu, zwlekała chwilę z nadzieją, że to pomyłka i telefon umilknie. Niestety nie przestawał brzęczeć. Wyciągnęła niechętnie rękę i odebrała.

– Tak, słucham – odezwała się lekko ochrypłym od snu głosem.

– Słyszę, że cię obudziłem – odezwał się ciepły głos Edmunda, przyjaciela jeszcze z czasów studiów, dziś znanego warszawskiego lekarza kardiologa – przepraszam, ale pomyślałem, że powinnaś znać ostatnie wieści o Leopoldzie. Jest z nim bardzo, bardzo źle. Jeszcze raz przepraszam, wiem, że od kilku lat się z Tobą nie kontaktuje i właściwie nie wiem... Heleno, chcę, żebyś mi pomogła...

Przez chwilę w telefonie zapanowała cisza. Każde z nich zastanawiało się co powiedzieć. I co dalej.

Pierwsza odezwała się Helena – Nie wiem, czego ode mnie, Edmundzie oczekujesz, ale chętnie z tobą porozmawiam i zastanowimy się, co możemy zrobić. Spotkajmy się dziś po południu, około siedemnastej, w tej małej cukierni w Wilanowie. Jest takie piękne babie lato, powspominamy, opowiesz mi o nim, pomyślimy.

Wydało jej się, że słyszy w słuchawce głęboki wydech, jakby ktoś wypuścił długo wstrzymywane powietrze. – Ok, dziękuję, do zobaczenia zatem ...

Późnym popołudniem siedzieli oboje naprzeciw siebie przy okrągłym stoliku w ogródku cukierni, a przed nimi stały filiżanki z mocną czarną kawą. Nie było jeszcze zimno, choć delikatny wiatr niósł już zapowiedź prawdziwej jesieni.

Helena otuliła się mocniej ciepłym kolorowym szalem, wypila łyk kawy i odezwała się cicho. – Więc opowiedz mi o nim, Edmundzie, powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem.

– Pamiętasz, jak się we troje poznaliśmy? Był podobny, piękny, jesienny dzień, a wieczorem w Stodole, najbardziej modnym wtedy klubie studenckim, odbywały się spotkania jazzowe. Ja uwielbiam tę muzykę, więc było dla mnie oczywiste, że się tam zjawię, choć medyków nie bywało tam wielu. Leopold był tam stałym bywalcem, jak wielu studentów Politechniki i wtedy nawet jeszcze grywał na saksofonie, chyba nawet miał wtedy krótki występ, a ty...

A ja – podjęła Helena – żadna przygód studentka z prowincji, teraz już na drugim roku prawa na Uniwersytecie, koniecznie chciałam być tam, gdzie coś się dzieje. Zobaczyłam was obu przy barze, sprzeczałyście się o coś, byli-

ście tak różni – brunet i blondyn – a jakoś tak podobni do siebie.... Stałam blisko, żeby posłuchać...

– Aż na ciebie popatrzyłem, jak z kuflem piwa gapilaś się na nas, jak jakiś małolat, pokazałem cię Leopoldowi, a ten natychmiast poprosił, żebyś podeszła, co tak śmiesznie po dziecinnemu zrobiłaś.

– I potem tyle było fantastycznych, wspólnych spotkań, wycieczek, dobrej muzyki, teatru, kina i gadania... nawet wtedy, gdy obaj zaczęliście już pracować, a ja wciąż jeszcze walczyłam o najlepsze stopnie, bo koniecznie chciałam zostać najlepszym prawnikiem od finansów w kraju...

Zapadła cisza. Oboje patrzyli gdzieś w dal, może w głęb siebie. Ćwierć wieku temu było tak pięknie, nowa epoka dawała tyle możliwości, obiecywała wszystko...

– Gdy skończyłaś studia, wybrałaś Leopolda.... Cieszyłem się, choć oczywiście byłem zazdrosny, dlatego tak szybko ożeniłem się z Agnieszką. To była dobra, ładna dziewczyna. Ale nie dla mnie. Po kilku latach się rozstałiśmy, za obopólną zgodą, potem dobrze trafiła, jest dziś bardzo zadowolona z życia., wciąż się przyjaźnimy. A wy postanowiliście żyć „w grzechu” długo i szczęśliwie...

– I tak było – powiedziała Helena drżącym głosem, podniosła do ust filiżankę z ostygłą już kawą, upiła łyk – tak było... było cudownie.. ale Bóg nie lubi ludzi zbyt szczęśliwych i po dziesięciu latach zaczęło się psuć, najpierw powoli, jak w bajce o lokomotywie, prawie niezauważalnie, a potem coraz szybciej, coraz bardziej. On radził sobie z przeciwnościami, jak umiał, a ja... chyba nie potrafiłam go wspierać.

I jeszcze to moje poronienie... tak się cieszyliśmy.... Już było wiadomo, że to będzie chłopiec... pierwszy i ostatni raz widziałam, jak płakał... siedział przy moim łóżku w szpitalu, trzymał mnie za rękę i płakał, a ja razem z nim. Nagle wyszedł i upił się do nieprzytomności... Gdy następnego dnia wróciłam do domu, leżał na kanapie w ubraniu i spał... potem było już gorzej i gorzej. Sama czułam się coraz bardziej wyczerpana, on uciekał w alkohol coraz częściej, aż ja nie wytrzymałam i odeszłam. To było dziesięć lat temu.

– Pamiętam, gdy był jeszcze najlepszym, najbardziej rozchwytywanym architektem w kraju. Doceniali go też w Europie. Tyle doskonałych projektów.... I wystarczył jeden błąd i to nie jego, tylko zachłannego dewelopera, który zastosował tańszą, gorszą stal, żeby więcej ukraść.... No i budynek się zawalił, zanim jeszcze skończyli go budować...

– To była koszmarna katastrofa, zginęło dwu robotników, a deweloper nawet nie poszedł siedzieć, całe odium przerzucił na architekta. I choć potem wszystko zostało w zasadzie odkręcone, smród pozostał. Leopold już nie dostawał głośnych zamówień, nie był zapraszany i nagradzany, a mali inwestorzy, którzy się do niego zgłaszali mieli mnóstwo zastrzeżeń i obaw, że w końcu przestał przyjmować zamówienia. Jeszcze przez dwa lata był

zatrudniony w biurze projektowym, które zresztą sam założył, aż w końcu wspólnicy go stamtąd wylali i zmienili nazwę. To był gwóźdź do trumny. Już się z tego nie otrząsnął, przestał się ze mną kontaktować, nie odpowiadał na maile, nie odbierał telefonów. Ty zresztą też się do mnie nie odzywałeś, choć wiem skąd inąd, że czasami się widywaliście i próbowałeś jakoś mu pomagać. Widać w nas i między nami coś popękało. Może szkoda, że zbyt łatwo opuściłam, że skupiłam się na pracy, to zawsze dobra ucieczka od problemów, może powinnam być silniejsza od niego...

– Nie obwiniaj się, Heleno, widać tak być musiało.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, znów zapatrzeni w swoje wnętrza, w swoje wspomnienia. Pierwsza ocknęła się Helena, wypila łyk kawy, potem położyła dłoń na dłoni Edmunda.

– No, to teraz mów o Leopoldzie, co z nim i jak mogę pomóc.

Edmund westchnął, zabrał rękę, zacisnął dłonie w pięści, jakby chciał odepchnąć od siebie myśli, albo się z nimi pobić. W końcu cichym głosem zaczął:

– Widziałem go przedwcześniej. Jeszcze do wiosny pracował w jakiejś małej firmie projektowej, upijał się dopiero wieczorem, aż w końcu coraz częściej, albo przychodził do pracy pijany, albo nie przychodził wcale. W końcu sobie odpuścił, zadzwonił do mnie z pytaniem, czy może sobie na działce zrobić krótkie wakacje, czy mu pozwolę tam zamieszkać. Nie miałem nic przeciwko temu, myślałem, że potrzebny mu odpoczynek, odskocznia... Przedwcześniej mnie nie poznał, chyba nawet nie odnotował mojej obecności.... Jest w strasznym stanie, wychudzony, zaniedbany i bardzo chory... We wrześniu zmusiłem go, żeby pojawił się u mnie w szpitalu na badaniach. Wyniki są bardzo złe. Oczywiście zaawansowana marskość wątroby i zapalenie trzustki, ale przede wszystkim zaburzenia pracy serca, miał już dwa lekkie zawały, obawiam się, że następnego nie przetrzyma i być może o to mu chodzi. Do tego bardzo wychudł, bo nie wiem, czy coś je, domyślam się, że jego głowa też już nie najlepiej pracuje, choć tego nie badałem, może mieć halucynacje, psychozy, luki w pamięci... Heleno, on umiera, zostało mu kilka, może kilkanaście dni. Chciałbym, żeby nie umarł w samotności, w zimnie i zaniedbaniu w tej działkowej chacie....

Helena z dłonią przy ustach, patrzyła na mówiącego Edmunda ze zdziwieniem i przerażeniem w oczach.

– Boże, nie wiedziałam, że jest aż tak źle!! Co mogę zrobić? Jaki masz plan? Zrobię wszystko...

– Ale czy zdołasz wytrzymać jego śmierć... być przy nim do ostatniego tchnienia i trzymać go za rękę? To bardzo trudne. Większość ludzi nie daje sobie z tym rady. Dlatego umierający są zabierani do szpitali. Ja nie chcę, nie mogę przywiązać go do łóżka i patrzeć, jak dodatkowo cierpi z powodu gwałtownego odstawienia... Chcę tylko, żeby godnie umarł, ale obawiam

się, że gdy mu zaproponuję, żeby u mnie zamieszkał, ucieknie i zaszyje się w zupełnie nieznanym nam miejscu...

– Czyli co? Myślę, że zdołam go znaleźć na działkach jutro rano, po nocy trochę przetrzeźwieje, w zależności od sytuacji, albo po prostu z nim tam zostanę, albo go zabiorę do siebie, jeśli się zgodzi, albo sprowokuję, żeby się zgłosił do ciebie, a ty go skierujesz do mnie. Pretekstem niech będzie 25 rocznica naszego spotkania. Też będziesz brał w tym udział. Musi się nam udać... Powiedz mi tylko, na ile można mu pozwalać pić dziennie, żeby nie miał syndromu odstawienia, ale też, żeby nie pogarszał sytuacji... czy ja dobrze myślę?

– Mądra dziewczynka – Edmund uśmiechnął się nieśmiało – liczyłem na ciebie, właśnie coś takiego chciałem ci zaproponować. Trochę dobrego wina do obiadu, szklaneczka whisky wieczorem, byłoby akurat. Gdyby mógł jeść coś lekkostrawnego, gdyby poczuł, że nie jest sam.... Gdyby nam się udało dać mu tych kilka, kilkanaście pięknych dni... Heleno, gdyby nam się udało...

– Uda się, musi się udać. A może zdarzy się jeszcze jakiś cud...

Helena zerwała się z krzesła. Wyciągnęła rękę do Edmunda. – Idę robić plany i przygotowania. Jutro się zdzwaniamy. Dziękuję, że wciąż jesteś jego przyjacielem.

Edmund też wstał, przytulił ją do siebie. – Dzielna dziewczynka, powodzenia, jestem z tobą.

II

Następnego dnia około ósmej trzydzieści wstające słońca zapowiadało kolejny ładny jesienny dzień. Helena z niepokojem, dziwnym rodzajem rozterki ale i ciekawością wjechała na teren działek pracowniczych na Mokotowie. Jak tu jeszcze pięknie, pomyślała, ale pewnie niedługo miasto wszystko zagarnie pod nowe osiedla, tyle się tu przecież ostatnio zmieniło.

Samochód sunął powoli po nieutwardzonej, ale suchej drodze, między ogrodzonymi na różne sposoby niewielkimi przestrzeniami działek. Każda była wypełniona różnobarwnymi roślinami, na wielu krzatali się ludzie, zbierając jesienne plony, niektóre były wyraźnie zaniedbane. Ona szukała takiej z małym, śmiesznym domkiem, który pomagali zbudować Edmundowi, gdy dwadzieścia lat temu dostał ją wreszcie od miasta, bo domagała się tego jego ówczesna dziewczyna, z wykształcenia biologka. Bo, jak twierdziła, jest jej niezbędna do robienia eksperymentów genetycznych. I mieli wtedy we czworo dużo radości, porządkując te dwieście metrów kwadratowych ziemi, sadząc kwiaty i drzewka oraz stawiając po środku coś, co przypominało trochę domek baby Jagi a trochę namiot beduina z rozległym tarasem. Jakże

lubili tam siadywać wieczorami, szczęśliwi, roześmiani, przy butelce wina i zamówionej pizzy.

Jak to było dawno, myślała Helena, całe lata świetlne, czemu się skończyło i w ogóle gdzie to jest? To ta alejka na pewno, ale która to działka? Wreszcie odniosła wrażenie, że poznaje ogrodzenie – bardzo nietypową siatkę, którą Edmund kupił u któregoś z pacjentów – producenta rzemieślnika. Zatrzymała samochód. Wylączyła silnik. Siedziała chwilę wpatrzona w coś, co bardzo słabo pasowało do wspomnień, ale jednak pasowało.

Ogrodzenie, lekko zdeformowane, trzymało w ryzach przestrzeń pełną wybujałych krzewów, spomiędzy których wystawały wysoko równie rozrosłe drzewa, gdzieniegdzie próbowały się przebić przez to kwiaty, wolne przestrzenie zarastały chwasty. Od furtki prowadziła trawiasta ścieżka, prowadząca do śmiesznego, zaniedbanego, ale wciąż w dobrym stanie domku, który teraz z drogi był prawie niewidoczny. W dodatku obrastało go dzikie wino, które przybierało właśnie niezwykle, burgundowy kolor.

Helena szła powoli, niepewna, co zobaczy, choć wczoraj otrzymała dokładny, ponury obraz rzeczywistości. Przeszła przez wielki taras, na którym poniewierały się puste butelki po whisky i puszki po piwie, podeszła do zamkniętych drzwi, zapukała lekko, nie uzyskawszy odpowiedzi, nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły, stanęła na progu.

Domek miał od zawsze tylko jedno duże pomieszczenie, nie licząc małej, odrębnej łazienki po prawej stronie. Obok wydzielony został niewielki aneks kuchenny a resztę pomieszczenia zajmowało kilka różnych szerokich, rozkładanych kanap, które służyły do spania, niezależnie ilu gości zostawało na noc. Pośrodku stał piękny niski stolik zrobiony z grubej, jednolitej deski, którą wspólnie kiedyś wyszlifowali.

Tak było i teraz, nie licząc bałaganu, smrodu starego jedzenia i przetrawionego alkoholu. Na stoliku stały lub leżały puste butelki, na kanapach piętrzyły się sterty ubrań, czy może koców. W pierwszej chwili odniosła wrażenie, że nikogo tu nie ma. Stała przez chwilę, niezdeterminowana, co robić dalej, gdy nagle na najdalszej kanapie po lewej stronie zobaczyła ruch i rozległo się mamrotanie. Po chwili spod koca wysunęła się wychudzona ręka, za nią uniosła się głowa zwieńczona długą rozczochraną szpakowatą fryzurą i w końcu Helena zobaczyła zapadniętą twarz zarośniętą równie zmierzwioną i długą jak włosy brodą.

Była przygotowana na to, że zobaczy Leopolda zaniedbanego i wychudzonego, ale nie poznałaby go, gdyby nie wiedziała, że to nie może być przecież nikt inny. Stała i patrzyła, nie wiedząc co dalej robić. Aż zauważyła, że z tej zapadłej twarzy patrzy na nią czarne, pochmurne, zapuchnięte oczy. Zaparło jej dech w płucach.

Postać na kanapie uniosła się, zrzucając na podłogę część przykrywających ją lachów, usiadła, odchrząknęła, żeby uruchomić struny głosowe i ode-

zwala się zachrypniętym glosem: – Mam nadzieję, że to tylko moja pijana wyobraźnia płata mi figle i że to nie ty tu stoisz Piękna Heleno, bo w końcu, z jakiego nieba mogłabyś się tu pojawić, chyba, że ja już jestem w niebie?

– Witaj Leopoldzie – Helenie wreszcie przywróciło mowę – to rzeczywiście ja. Miło cię widzieć po tylu latach. Za kilka dni mija dwudziesta piąta rocznica naszego spotkania i przyszło mi do głowy zwołać mały, trzyosobowy zjazd na cześć tego niezwyklego zdarzenia. Edmund już został zaproszony, z Tobą było trochę trudniej, ale w końcu wyznał mi na torturach, gdzie cię szukać. I nie miej mu za złe, wiesz, że jak kobieta się uprze..., nie chciał mi wyznać, jaki masz numer telefonu, a ten, która ja mam, nie odpowiada... więc musiałam przyjechać... Zapraszam jutro na obiad do restauracji w Wilanowie, mieszkam niedaleko, więc potem możemy się przenieść do mnie... zostawiam ci zaproszenie na stole, żebyś nie zapomniał...

Mówiła szybko, choć głos miała łagodny i ciepły, bardzo chciała, żeby wypadło to naturalnie, jakby nie było między nimi długiego rozstania, jakby nie widziała, w jakim on jest stanie, jakby...

Leopold patrzył na nią bez ruchu. Potem podniósł powoli dłoń do oczu, zamknął je, po czym otworzył i bardzo powoli powiedział:

– Heleno, proszę, żebyś natychmiast stąd wyszła... Nie masz prawa ingerować...

– Wcale nie mam zamiaru – wpadła mu w słowo, bo zdawała sobie sprawę, że za chwilę misterny plan rozsypie się w drobny pył, że nie uda jej się namówić go... że zaraz się rozplacze... – nie mam zamiaru w nic ingerować, każde z nas ma własne życie i nich tak zostanie. Chcę jedynie, żebyśmy się spotkali we troje na pysznym obiedzie, żebyśmy przypomnieli sobie dobre, szczęśliwe dni, a potem każde będzie sobie żyć dalej jak lubi. Myślę, że masz jeszcze tyle przyzwoitości, żeby spotkać się ze mną, gdy o to proszę. Kiedyś nie dawałeś się długo namawiać. To było oczywiste. Nie pozwól zatem, żebym czuła się jak petent... Zatem do zobaczenia w sobotę. Szczegóły masz na zaproszeniu. Tymczasem życzę ci dobrego dnia, trzymaj się.... – pomaachała mu dłonią, trzymając cały czas uśmiechniętą twarz, a potem odwróciła się i wymaszerowała, nie dając mu dojść do głosu.

Zamknęła cicho drzwi, chwyciła ustami haust czystego powietrza i najszybciej jak mogła zaczęła iść ścieżką do furtki. Wsiadła do samochodu i zastanawiała się, czy będzie mieć siłę, wycofywać do jakiegoś szerszego odcinka. Była tak spięta, że bolały ją nogi, ręce i brzuch. Była wstrząśnięta wyglądem Leopolda i warunkami w jakich się znalazł. Nie miała pojęcia, co będzie dalej, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że jeśli Leopold nie pojawi się na obiedzie, to ona będzie musiała wymyśleć inny sposób. Teraz już wiedziała, że nie pozwoli mu umierać w samotności i zaniedbaniu, była mu to winna. Poza tym, przecież go kochała. Świadomość tego wyloniła się

z tyłu jej głowy, aż jej się skurczyło serce i stanęły jej w oczach łzy z żalu nad sobą, nad nim i nad straconymi latami.

Po powrocie do domu Helena długo nie mogła dojść do siebie, ale wreszcie koło południa zadzwoniła do Edmunda, żeby mu powiedzieć, co się stało i że właściwie nic nie uzyskała.

– Już wszystko wiem – powiedział prawie szeptem Edmund – doskonale się spisałaś, zaraz po twojej wizycie, zadzwonił do mnie, okropnie na mnie naskoczył, a potem przekonany, że cię obraził, zaczął się zastanawiać, co ma zrobić, więc zaproponowałem mu, żeby przyjechał do mnie, to się razem, zastanowimy. I teraz bierze kąpiel. Jest dobrze, może uda mi się wysłać go do fryzjera a może nawet do Spa. Nie wykluczam, że wieczorem będzie cię chciał odwiedzić. Dajmy mu szansę. Najważniejsze, że wyszedł z tej nory i chce coś zrobić. Nawiasem mówiąc, jest straszliwie wychudzony... Ale żyje i kontaktuje... Kończę, bo słyszę, że tu idzie.

Przez resztę dnia Helena spędziła na czekaniu, jeszcze uzupełniła barek o kilka butelek dobrego wina i whisky, kupiła świeżą kawę i herbatę, kilka różnych soków, przygotowała różne przekąski, dużo czasu spędziła przed lustrem...

Przed dwudziestą, gdy słońce zostawiło na niebie różowo-malinową smugę, zadzwonił domofon. Serce nieomal jej nie wyskoczyło z piersi, gdy podchodziła do drzwi, nie pytała, kto to, po prostu je otworzyła.

Na progu stał Leopold, jakże innych od tego, którego miała w pamięci z ich szczęśliwych dni, ale też zupełnie inny od tego, którego zobaczyła dziś rano. Stał przed nią wysoki, bardzo szczupły mężczyzna z doskonale ostrzyżonymi szpakowatymi włosami i takąż brodą, w granatowym, modnym garniturze z kolorową kamizelką w białej koszuli i białym krawacie. W dłoniach trzymał bukiet blado różowych róż.

Stali tak oboje przez chwilę... aż pierwsza poruszyła się Helena, wyciągnęła dłoń, uśmiechnęła się szeroko – Witaj Leopoldzie, miło cię znów widzieć....

– Witaj Heleno, przyszedłem Cię prosić o wybaczenie.... Moje poranne zachowanie było nie do przyjęcia, żeby nie użyć mocniejszych słów....

– To ja cię przepraszam – weszła mu w słowo Helena – wiem, że cię zaskoczyłam, ale nie mam twojego aktualnego telefonu... wejdź, proszę i dziękuję za piękne róże, ciszę się, że pamiętałeś, jakie lubię najbardziej....

Wzięła bukiet, całując Leopolda lekko w policzek, wstawiła je do wazonu i postawiła je na niskim stoliku.

– Siadaj proszę, czego się napijesz...

Pytanie zawisło między nimi, niezręcznie, ale Leopold tylko się uśmiechnął i powiedział – Chętnie wypiję kawę...

– To chodźmy do kuchni, uruchomię ekspres, sama z przyjemnością też się napiję kawy, bo jakaś jestem od rana lekko skolowana.

Poszła przodem, szedł za nią rozglądając się. – Ładnie mieszkasz – powiedział, od dawna się tu przeprowadziłaś?

Na chwilę zatrzymał się przed dużym obrazem, na którym kłębiły się pastelowe kwiaty... Kupili go razem dawno temu w Sadybie i był wtedy ich zaczarowanym ogrodem... – Zawsze lubilem ten obraz...

– Ja też i darzę go ogromnym sentymentem... Przeprowadziłam się tu jakieś siedem lat temu, gdy już mogłam sobie pozwolić na taki apartament i musiałam go tu mieć. Wolisz usiąść na stolku, czy przy stole? – Helena nasypała już kawę do ekspresu, podstawiła dwie śliczne filiżanki pod zawory i za chwilę dotarł do nich aromat wyśmienitej kawy. Po chwili ustawiła filiżanki na spodkach, a te na tacy, dodała łyżeczki, cukiernicę i talerzyk z ciastkami.

– Wiesz, może chodźmy jednak do pokoju, widać stamtąd niebo o zachodzie.

Gdy już usadowili się na wygodnej kanapie, patrzyli przez chwilę w milczeniu na niebo, a potem oboje popatrzyli na siebie i równocześnie się uśmiechnęli, ona radośnie a on jakby przepraszająco.

– Opowiedz mi o sobie i o tym sobotnim spotkaniu, które zorganizowałaś. Wciąż wietrzę tu jakiś podstęp, bo przecież dobrze wiesz i sama widziałaś w jakim jestem położeniu. Nie chce mi się wierzyć, że nie uknuliście z Edmundem spisku za moimi plecami...

– Leopoldzie – Helena weszła mu w słowo – nikt nic nie knuje, a każde z nas jest przecież w jakimś położeniu. Popatrz na mnie. Mieszkam tu sama, pracuję w świetnej korporacji na wysokim, jak na kobietę, stanowisku, jestem doceniana i lubiana, mam coraz więcej wolnego czasu, bo mam zdolnych podwładnych i coraz częściej pracę zdalną, czasami rozpamiętuję przeszłość i ostatnio naszła mnie jakaś taka tęsknota. Jeśli chcesz spytać, to nie, nie mam nikogo, jakoś coraz mniej mi na tym zależy, albo mam zbyt wygórowane potrzeby, albo nie mogę znaleźć godnego ciebie następcy. Byliśmy tacy szczęśliwi, pamiętasz? Ostatnio przeglądałam zdjęcia sprzed lat i uświadomiłam sobie że to ćwierćwiecze naszego spotkania. I nagle... wybacz... tak gwałtownie za Tobą zatęskniłam. Edmund, gdy przedstawiłam mu pomysł spotkania na wspólne wspominki, długo nie chciał mi o tobie nic powiedzieć. Ostatnio trudno też coś o tobie przeczytać w mediach społecznościowych... no, trochę szukałam... jeszcze gdzieś tam czasami można się dogrzebać do tej afery budowlanej, ale to już nie ty jesteś jej przyczyną... w końcu dobrali się temu deweloperowi do skóry, wiesz.... – Helena żywo gestykulowała nie bardzo wiedząc, co dalej...

Leopold przysunął się nieco bliżej, wziął jej dłonie w swoje i bardzo cicho powiedział: – Heleno dobrze wiesz, że ja jestem skończony pod każdym względem, jestem ciężko chorym alkoholikiem, który żyje z dnia na dzień z resztek oszczędności. Sprzedałem mieszkanie i przebywam, jak sama wi-

działał w domku Edmunda na jego działce. Nie wiem, czy dociągnę do zimy i się tym za bardzo nie przejmuję. Dziś wyrwałaś mnie z mojej nędznej egzystencji tylko dlatego, że im bliżej jestem końca, tym bardziej mnie boli nasze rozstanie, tym bardziej za tobą tęsknię i tym mocniej i bardziej beznadziejnie cię kocham.... Gdy cię dziś rano zobaczyłem i zrozumiałem, że to nie był pijacki majak.... Musiałem cię zobaczyć na trzeźwo.... Dlatego pozwoliłem się doprowadzić do względnego porządku i dlatego tu jestem... Żeby jeszcze raz powiedzieć ci, że cię kocham, że bardzo cię za wszystko przepraszam... I, Heleno, muszę się napić...

Zapadła cisza, za oknem niebo zrobiło się już granatowe. Helena zapaliła stojącą obok lampę. Ciepłe światło objęło ich oboje, siedzieli blisko siebie, ale i tak było między nimi za dużo powietrza...

– W barku jest jakiś alkohol, wybierz, co lubisz, a mnie nalej, proszę lampkę czerwonego wina, jedno jest otwarte.

Po dłuższej chwili znów siedzieli obok siebie. Helena włączyła muzykę, melodie, które znali i lubili snuli się cicho po pokoju.

– Zostaniesz na kolacji? – spytała – będzie mi miło, jeśli pogawędzimy jeszcze trochę, zanim wyjdiesz.

Leopold po wypiciu porcji whisky poczuł się bardziej pewnie, – oczywiście, z przyjemnością – powiedział, jeśli mogę jeszcze raz skorzystać z barku.

– Naturalnie, czuj się jak u siebie, a ja zaraz coś przygotuję. Nalej sobie, weź też wino i przyjdź do jadalni.

Helena szybko poustawiała na stole przygotowane wcześniej dania. Usiedli przy dwu sąsiednich krawędziach stołu, tak, że czasami ich dłonie się spotykały. Leopold postawił butelkę whisky w zasięgu swojej reki. Jedli niewiele. Rozmawiali o początkach ich znajomości, każde trochę inaczej widziało epizody z tamtego życia. Helena popijała wino, małymi łykami i patrzyła, jak Leopold staje się coraz bardziej i bardziej pijany. Trzymał się, ale powoli przestawał być sobą. Żeby jakoś to przerwać spytała: -Zostaniesz u mnie na noc?

Leopold zaskoczony pokręcił głową. – Dziś może nie – powiedział – i chyba muszę już iść. Dziękuję z cudny wieczór, moja kochana wciąż piękna Heleno.

– Zadzwońię po taksówkę – powiedziała wstając i szybko wybrała numer Edmunda. Zobaczyła kątem oka, jak Leopold nalewa sobie kolejną porcję alkoholu i wypija jednym haustem. – Przyjedź po niego, bo zaraz będzie za późno.

Podeszła do Leopolda, który chwiejnie i z dużym trudem podniósł się z kanapy. – Przytul mnie jeszcze zanim przyjedzie samochód. Objęła Leopolda w pól, przytuliła się do niego całym ciałem, ale bardziej czuła, że musi go podtrzymywać, żeby nie upadł i tak objęci, przesunęli się pomału w stronę drzwi. Leopold oparł się ciężko o ścianę. Objął Helenę nieporadnie

w pasie, wtulił głowę w jej szyję i trwał tak nie wiadomo na ile świadomie, dopóki nie usłyszeli kroków na korytarzu.

Do jutra kochanie – powiedziała Helena – czekam w restauracji o siedemnastej.

Potem otworzyła drzwi i przekazała Leopolda Edmundowi. Ten objął go mocno za ramiona, kiwnął głową w podziękowaniu i poszli ku wyjściu. Nie wiadomo, na ile Leopold miał świadomość sytuacji, ale oni byli zadowoleni, że spędził dzień inaczej niż ostatnio, a noc na pewno spędzi w ciepłym łóżku w domu przyjaciela.

Helena długo nie mogła zasnąć tej nocy. Wiedziała, że nie będzie łatwo.

III

W sobotę Helena kilkakrotnie ustalała z restauracją menu. Potem spędziła długie godziny na przygotowaniach. Nie odważyła się zadzwonić do Edmunda, żeby spytać, jak wygląda sytuacja. Musiała dziś być silna, jeśli chciała wziąć na siebie kolejną noc.

Pogoda wciąż była jesiennie piękna, więc do restauracji poszła pieszo. Świeże powietrze zaróżowiło jej policzki i dodało oczom blasku. Przyszła, zgodnie z planem pierwsza, zajęła zarezerwowany stolik zamówiła aperitif i przystawki. Za chwilę, punktualnie o 17-tej zobaczyła obu panów w drzwiach restauracji. Edmund wyglądał na trochę zmęczonego, ale był w świetnym nastroju, Leopold po prostu się trzymał. Wyglądało na to, że od rana nie pił, albo pił bardzo mało. Do wczorajszego garnituru zmienił koszulę na błękitną z granatowym krawatem. Obaj na pierwszy rzut oka prezentowali się znakomicie.

Wstała, żeby ich uściskać, obaj ją czule przytulili i ucałowali w dłonie i policzki. I poczuła nagle, że obaj są jej jednakowo bliscy. Dlaczego wtedy wybrałam Leopolda? – pomyślała.

Potem jedząc i gawędząc spędzili razem ponad dwie godziny, ciesząc się każdą chwilą. Znowu wspominali wspólnie spędzony czas, każde napomknęło trochę o swojej obecnej pracy, nawet Leopold opowiedział o kilku projektach, które zrealizował, zanim się rozpił. Było ładnie i jakoś tak uroczyście...

– A teraz proponuję wieczorny spacer do mojego mieszkania, gdzie chciałabym jeszcze przez dłuższą chwilę kontynuować tak miło rozpoczęty wieczór. I proszę, panowie, żadnych sprzeciwów, ja dyktuję dziś warunki, wy będziecie rządzić następnym razem.

I szli tak we troje. Ona pośrodku, objęta przez każdego z nich, choć wyraźnie czuła siłę Edmunda i chwiejną słabość Leopolda.

Gdy weszli do środka. Od razu poniosły się w mieszkaniu ich ulubione melodie. A potem zachowywali się trochę jak studenci, tańcząc, pijąc, śmie-

jąc się ze wspomnień i dowcipów. Aż przed północą Leopold nie mógł się już utrzymać na nogach. Więc oboje rozebrali go i położyli do łóżka, choć trochę belkotliwie protestował.

Sami usiedli jeszcze na kanapie, wyglądali, jakby uszło z nich powietrze.

– Co z nim?– spytała Helena.

– Wczoraj czuwałem prawie całą noc, bo miał jakieś koszmary, a gdy przysypiał, to znów miał kilka razy bezdech, więc byłem przerażony. Ale jakoś przetrzymał do rana. Potem trochę go odtrułem i mimo protestów zbadałem. Nic się nie zmieniło. I pewnie sama czujesz, jaki jest słaby i jak szybko traci świadomość, wystarczy kilka kieliszków. Na pewno dasz radę? Gdzie będziesz spała? Mogę tu zostać....

– Nie, nie trzeba, dziękuję. Dziś moja kolej. Ty odpocznij. Ja prześpię się na kanapie, albo może jednak położę się obok niego, żeby szybciej reagować, gdyby coś... Zadzwoń rano. Idź już Edmundzie... Wiesz, zastanawiałam się dziś, czy dokonałam słusznego wyboru...

Gdy Helena została sama, wzięła gorący prysznic, pigułkę na kaca, choć bardziej udawała, że pije, niż była pijana. Długo patrzyła na śpiącego Leopolda, stojąc w drzwiach sypialni. Leżał zwinęty w kłębek, mamrotał coś, ciężko oddychał. Widać było, że pijany sen nie przynosi mu odpoczynku.

W końcu Helena westchnęła. Wyjęła z szafy miękki pled, położyła się na skraju łóżka, opatulila się po szyję.

Długo nie mogła zasnąć, ale w końcu zmęczenie wzięło górę.

Obudził ją szum wody pod prysznicem. Uchyliła oczy, żeby zobaczyć za oknem szary, zamglony świt. Po chwili prysznic przestał szumieć, a w drzwiach sypialni stanął owinięty tylko ręcznikiem Leopold. Gdyby nie ta przerażająca chudość można by go uznać za przystojnego. Podszedł do łóżka, wsunął się pod koc, którym była przykryta i bez słowa, zaczął ją całować. Przez chwilę spanikowana spięła się i nie wiedziała, co robić, ale zaraz zamknęła oczy i skupiła się na pocałunkach i pieszczotach. Przypomniła sobie tamtego Leopolda, jej ciało przypomniawszy sobie tamto kochanie. Zanurzili się w sobie i powoli zapomnieli o całym świecie. Znów oboje byli ze sobą i byli tylko dla siebie. Gdy skoczyli się kochać, Leopold przytulił ją mocno do siebie, bardzo cicho powiedział: – Heleno pamiętaj, że zawsze bardzo cię kochałem...

Nabrał powietrza do płuc, jakby chciał mówić dalej... i nagle wszystko ucichło. Zwiotczał, już jej nie przytulał, choć wciąż był obok...

Helena słuchała, napięta jak struna, potem przyłożyła mu rękę do piersi i nie usłyszała bicia serca. Wysunęła się z jego objęć. Ujęła w dłonie jego głowę, zobaczyła zamglone, puste oczy. Pocałowała go w czoło, położyła delikatnie na poduszce i zamknęła mu powieki.

Trwała tak, siedząc obok, wydawało jej się, że całe wieki. Potem wzięła telefon i nacisnęła ikonkę słuchawki przy imieniu Edmunda. Odebrał na-

tychmiast, a ona nie powiedziała ani słowa – Zaraz będę – usłyszała, kiwnęła głową, odłożyła telefon i zanosła się długim, ochryplym szlochem.

Potem już tylko siedziała na kanapie w pokoju, owinięta w gruby szlafrok. Zaraz po Edmundzie pojawili się ludzie z Zakładu Pogrzebowego. Ciało Leopolda zostało zabrane. Ktoś sprzątnął pościel z łóżka. Helena dostała filiżankę kawy i jakiś proszek, który bez pytania połknęła. Zapatrzyła się w okno. Było szaro, zaczął padać rzęśisty deszcz.

Wreszcie Edmund załatwiwszy wszystko, co w tej sytuacji należało, usiadł obok niej. Otoczył ją ramieniem i mocno przytulił.

– Dziękuję ci, Heleno, i bardzo przepraszam, to ja powinienem być na twoim miejscu, a nie narażać cię...

Uniosła rękę i uśmiechnęła się blado – Nie sędzę Edmundzie, no chyba, że chciałbyś się z nim kochać... Wiesz, kochaliśmy się jak za dawnych lat, a potem powiedział, żebym pamiętała, że zawsze mnie kochał... To były jego ostatnie słowa...

– Jesteś niezwykła Heleno, a on miał śmierć najpiękniejszą z możliwych. Teraz już cię nie opuszczę. Zostanę z tobą, bo ja też cię kocham...

– Tak, wiem, zostań ze mną... na zawsze.

9.02.2023- 12.02.2023

Aleksandra Gliniewicz

Ekfrazja do obrazów Doroty Sawickiej

Czekając na koniec i Początek końca

Człowiek w bieli
Zabrał mi czas przyszły niedokonany
Zostawił tylko terazniejszy
 Czas przeszły dokonany
 Schowałam głęboko
 Wewnątrz siebie
Wyprawiam się tam
Jak Argonauci po złote runo
 Tulę się do minionych zdarzeń
 Rozgrzewam przypomnieniem
 Chwile z przeszłości
Czas przeszły dokonany
Jest moją źrenicą oka,
Moim skarbem.

Marzec – kwiecień 2025

Pogryziona przez pchły

Pogryzły mnie pchły!
Wygryzły mi spokój
Zakłóciły mój sen
Przegryzły ciągłość codziennej rzeczywistości
 Musiałam się zająć obroną
 Kotów i siebie
 Przed inwazją
 Sześcionożnych, skaczących,
 Małych żyjatek,
 O których większość ludzi
 Tylko teoretycznie wie,
 Że gdzieś tam istnieją.
Winowajcy
Przychodzili zresztą
Na pieszczoty i śniadania
Jak gdyby nigdy nic,
Czysta niewinność
W bursztynowych oczach!

Lipiec 2024

Pierwszy bób

Kupiłam pierwszy w tym roku wiosenno-letni bób. Wyczekiwałam kilka tygodni, aż jego cena stanie się dla mnie akceptowalna – poniżej dwudziestu złotych. Codziennie, mijając stragan z warzywami, pytałam o cenę paczki bobu: dwadzieścia pięć złotych, dwadzieścia dwa, dwadzieścia – czekałam jednak jeszcze jeden dzień, wyobrażając sobie jego smak. Ugotowałam go z koperkiem.

Pierwszy raz w tym roku jadłam bób sama...

Wszystkie zwierzęta, które przebywały w moim domu, lubiły bób. Koty i pies (a potem oba psy) rzadkiem siedziały na podłodze obok stołu i łakomym wzrokiem wodziły za moją ręką, gdy sięgała do talerza pełnego gorących ziaren. Dopiero pod koniec mojego posiłku dostawały swoje porcje. Pochłaniały je z mlaskaniem, do ostatniej lupinki. Pewnie nie trawiły wszystkiego, ale ze smakiem zjadały. Potem wszyscy mieliśmy napęczniałe brzuszki.

Pamiętam z dzieciństwa (jak wiele osób z mojego pokolenia spędzałam lato u rodziny na wsi) babcię z miską bobu uzbieranego w ogródku. Zasiadała na małym stoleczku w kuchni, a my, dzieci, pomagaliśmy wyluskiwać ziarna ze strąków, a potem niecierpliwie czekaliśmy, aż bób będzie ugotowany i odpowiedni do zjedzenia. Powinien być nie za miękki, tylko lekko twardawy, żeby jadalny środek łatwo wysuwał się z nadgryzanej lupinki i żeby przyjemnie go było rozgniatać zębami. Ugotowany przez babcię właśnie taki był. Gotowy, gorący przesypywaliśmy do kubeczków i biegliśmy do zagajnika; tam każde z nas sadowiło się w gałęziach ulubionego drzewa i zjadaliśmy się ziarnami, plując lupinkami wokół. Gadaliśmy, ja chyba też czytałam jakąś książkę z ciotczynej biblioteki. Na pewno było nam niespecjalnie wygodnie, bo sękaty gałęzie drzew owocowych uwierały w uda i pośladki. No, ale taki sposób jedzenia bobu pamiętam do dziś.

Potem, kiedy już pracowałam, ucieszyłam się w obecności koleżanki, że właśnie kupiłam pierwszy tego roku bób i zrobię sobie ucztę. Spojrzała na mnie ze zdumieniem podszytym wyższością i pogardą:

– Bób? – sarknęła – to takie plebejskie jedzenie. U mnie w domu się tego nie jadło i ja też nie będę dzieciom tego dawać.

Jakoś nie znalazłam odpowiedniej riposty. Zdumiona jej zdecydowanym zdaniem na temat jedzenia bobu poszłam cieszyć się zielonymi ziarnami w samotności.

Jako *l'esprit de l'escalier* * przypomniałam sobie fragment książki *Maria i Magdalena* Magdaleny Samozwaniec, w którym autorka opisuje, jak jej siostra, eteryczna i wrażliwa poetka Maria Pawlikowska-Jasnorzewska brała miškę bobu, szła do ogrodu, zajaęła i... pisała natchnione wiersze.

* *L'esprit de l'escalier* – *franc. dosł. duch schodów*; tu: nagła, błyskotliwa riposta, która przychodzi do głowy za późno, gdy jest już bezużyteczna.

Jolanta Maria Grotte

Ostatni dzień lata

Lato tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku było wyjątkowo ciepłe i słoneczne. Lidka od kilku lat pracowała w dużym zakładzie, w dziale socjalnym. Prowadziła dla pracowników zakładu zagraniczne wczasy wymienne z zakładami w Dreźnie, Warnie, Zaporozu czy Ufie. Dziś miała odebrać grupę Niemców z Drezna, która przez dwa tygodnie wypoczywała w ich zakładowym ośrodku wczasowym na Mazurach. Wczesnym rankiem, ponad pół godziny przed planowanym czasem przyjazdu autokaru, stała pod klubem zakładowym w Warszawie, wypatrując pojazdu. „O są, nareszcie”. Z daleka pomachała ręką kierowcy, a on światłami zamrugał, dając sygnał odpowiedzi. Choć знаła dobrze język niemiecki, nie wyjeżdżała z grupą, jako pilot. Zatrudniała tłumacza, opiekuna grupy. Od lat była nim pani Danuta, starsza pani z doświadczeniem. Mówiły sobie po imieniu, choć była między nimi duża różnica wieku. Lidka zwracała się do niej Nulka, od słowa Danulka, które uważała za zbyt długie przy porozumiewaniu się.

– Nulka, to jak, co robimy z grupą po południu? Ich pociąg z Dworca Wschodniego odchodzi o dziewiętnastej z minutami. Rozmawiałaś z nimi, co chcieliby robić do czasu odjazdu?... Zaplanowałam im spacer po ogrodzie w Wilanowie i zwiedzanie Pałacu. Obiad w śródmieściu Warszawy i dwie godziny na wydanie ostatnich złotych w sklepach. A oni co chcą robić? Pytałaś?...

– Oni nigdzie nie chcą jechać, na żadne zwiedzanie. Chcą do Domów Centrum, by podwiózł ich pan Henryk.

– Aha, rozumiem. W takim razie w autokarze wypłacę im pieniądze za obiad, który zaraz odwołam. Z autokaru pokażemy im Warszawę. Przejeżdżemy ulicami miasta, wskazując najciekawsze miejsca.

Po oglądaniu Warszawy z okien pojazdu Henryk zajeżdżał na Plac Defilad przy Pałacu Kultury i Nauki. Tam zaparkował autokar, a grupa szybko oddaliła się do Domów Centrum.

– Nulka, jak widzę, pan Henryk zostaje w samochodzie. Spójrz tam – wskazała palcem. – Jest ławka, niedaleko stąd. Może usiadźmy na niej, wypłacę ci należność za opiekę nad grupą. I wiesz, są jeszcze dodatkowe pieniądze dla ciebie i pana Henryka w formie nagrody. Mój szef Gienio jest wspaniałym kierownikiem, o nikim nie zapomina. Ja też dostałam i wypłatę wzięłam dziś. Ale jestem bogata...

Usiadły na ławce. Lidka zdjęła z nóg białe sandały na wysokim obcasie. „Och, jak dobrze, stopy odpoczną”. Nulka zrobiła to samo, wyciągnęła stopy ze swych schodzonych sandałów na niskim obcasie. Słońce pomalu

zmierzało ku zachodowi. Nie prażyło tak mocno, jak wcześniej. Przymrużyły oczy, by przez chwilę zapomnieć o trudach dnia. Ich twarze, pieszczotne promieniami słonecznymi, nagle poczuły chłód cienia. Otworzyły oczy i pełne zaskoczenia spojrzwały na Cyganki. Jedna przez drugą ścigały się z chęcią wróżenia kobietom. Z każdą sekundą przybywało cygańskich dzieci, wyciągały drobne rączki po słodycze, głaskały po rękach, dotykały. Lidka natychmiast mocniej przycisnęła torbę do siebie. Nulka, dopiero gdy założyła na nos okulary, zobaczyła chmarę cygańskich dzieci i kobiety natarczywie machające kartami przed jej oczami.

– Proszę odejść, nie chcemy wróżby. Proszę odejść! Odejść! Odejść! – głośno i zdecydowanie mówiła Lidka. Najpierw spokojnie, a potem głos przyjął formę panicznego krzyku i lęku. Zaatakowane zniecka opędały się, jak od wściekłych pszczoł. Nagle zrobiło się cicho. Zniknęły Cyganki i dzieci tak szybko, jak się pojawiły. Na placu nie było żywej duszy, jakby życie na moment zamarło.

– Nulko, co to było? – zapytała Lidka przerażoną pilotkę.

– Boże, co za koszmar. Pan Henio pewnie śpi w autokarze. Nic nie widział. Pomógłby.

Lidka odsunęła suwak torby, wyjęła listę i duży portfel.

– Och, jak dobrze Lidko, że to już ostatnia grupa niemiecka w tym sezonie. Jestem zmęczona, nie wiem, czy w przyszłym roku dam radę poprowadzić wszystkie grupy.

– Nulko, odpoczniesz i zatęsknisz za nami. Zobaczysz, znów za rok się spotkamy – uśmiechnęła się i otworzyła portfel. Z przerażenia jej oczy o mało nie wyskoczyły z orbit. Był pusty. Na widok braku w nim pieniędzy zaczęła wyrzucać z torby wszystko, mając nadzieję, że gdzie indziej je włożyła. Niestety, pieniędzy nie było. Czas, jakby stanął... i zatrzymał wskazówki zegara na szczycie Pałacu Kultury... Przez długą chwilę siedziała nieruchomo, nie mogąc powiedzieć słowa, a Nulka z przerażenia otworzyła usta. Nie wiedziała, co począć, jak uspokoić Lidkę, by się otrząsnęła i wróciła na ziemię. Lidka nagle wstała, zaczęła krzyczeć i głośno płakać. Placz jej był tak przeraźliwy, że zwrócił uwagę przechodzących przez Plac Defilad dwóch milicjantów.

– Co się stało? – zapytał jeden z nich. Drugi bacznie obserwował kobiety. Lidka z nerwów zaczęła płać się w słowach. – Spokojnie, proszę powiedzieć, co się stało – i powtórzył pytanie. Po wysłuchaniu Lidki dodał – zostańcie tu, nie ruszajcie się z miejsca.

Odeszli może z pięćdziesiąt metrów i się rozejrzeli. W dali zauważyli na placu jedynego Cygana. Milicjant kiwnął na niego palcem, a ten chwilę później posłusznie stanął przy nich. Przez dłuższą chwilę rozmawiali. Nie upłynęło dziesięć minut, jak milicjanci podeszli do kobiet. Jeden z nich podał Lidce zwinięte w rulon pieniądze. – Proszę przeliczyć... Zgadza się kwota?

– Tak, zgadza się... co do zlotówki – powiedziała, nie dowierzając temu, co się wydarzyło. Przetarła oczy i już chciała podziękować, gdy zauważyła, że nie ma ich obok.

– Dziękuję! – krzyknęła z całych sił, widząc milicjantów zajętych rozmową, dochodzących do skrzyżowania ulic Świętokrzyskiej z Marszałkowską...

Walentyna Karwowska

Godzina dla ziemi

Trzy słowa i jedna godzina
Podarowana jedna w roku
Jedna z ośmiu tysięcy siedmiuset sześćdziesięciu
Godzina ostatnia brzmi najgroźniej
To nic
Jest wiele innych

Ta dla Ziemi jest jednostką troski
Czy może szlachetną paczką

Ziemia wytrzymuje
Na razie

Celebracja troski godziną dla Ziemi
Pięknie brzmi

Czy nie jak minuta ciszy

Razem

Staął
Podszedł drugi i stanął obok
Podszedł następny i stanął
Zbierało się ich coraz więcej
I więcej

Stali
Aż wszyscy dołączyli
Do stojących
Na wysokiej fali

Nie byli sami
Stali razem

Sami

Terapia

Obiecujesz sobie
Że wypełnisz plan
Obiecujesz

Nic lepszego nie wymyślisz

Później układasz puzzle
Nie wiesz że ułożą się same
Że to dobry lub zły traf
Jeśli dobry uśmiechniesz się
Jeśli zły
Obiecaj sobie
Ułożyć jeszcze raz

Nic lepszego nie wymyślisz

Nie namawiaj

Nie namawiaj mnie
Do omijania przeszkód
Kiedy chcę je pokonywać

Nie chcę okrążyć góry
Chcę wejść na jej szczyt
Z niego uśmiechnąć się do ciebie

Nie chcę okrążyć jeziora
Chcę przez nie przejść
Szybciej podać rękę tobie

Kiedy ciemno jest bo noc
Zapalam świecę
Nie czekam aż nadejdzie świt

Kiedy zimno jest
Nie otwierasz drzwi
Najpierw otulasz mnie
Później rozpalasz w piecu
Na rzece budujesz most

Rzecz o słowie

Czym jest słowo? Odpowiedź wydaje się z gruntu oczywista. W końcu posługujemy się nim na co dzień jak powietrzem, ale czy myślimy o nim analogicznie jak o powietrzu?

Czy słowo i powietrze można w ogóle porównywać? Jakie są między nimi różnice i podobieństwa?

Do wspólnych cech zaliczam ich nieodzowność w naszym życiu, różnicę zaś upatruję w stopniu tej nieodzowności.

Nie myślimy o słowach, choć korzystamy z nich nieustannie. O powietrzu również myślimy tylko wówczas, kiedy nam go brakuje i trudno się oddycha, albo gdy porusza się temat jego zanieczyszczenia lub kiedy w szczególnych okolicznościach wyraźnie odczuwamy rzeźkość – wtedy zachwycamy się nim i głęboko oddychamy.

A co z zachwytem słowem? W końcu można zachwycać się nim bardziej niż powietrzem.

Za pomocą tej elementarnej części mowy ludzkiej, jako jednostki językowej, możemy określić wszystko, lecz na ile świadomie z tego korzystamy? Jak bardzo cenimy i szanujemy słowa np. zdrobniale, pieszczotliwe, zabawne; i jak często zastanawiamy się nad mocą tych groźnych, gorzkich i raniących?

Zbyt często zapominamy o mocy i znaczeniu słów, sięgając po nie jak po kukurydzę podczas oglądania filmu.

Zatrzymujemy się przy słowach przykrych, które sprawiają ból. Zapamiętujemy je i cierpimy.

Człowiek prowadzi nieustannie walkę słowną, za pomocą której dzieje się wszystko. Słowami wzniera konflikty, które prowadzą do wojen, słowami zabija i słowami wyznaje miłość.

Człowiek cierpi z powodu niszczących go słów i dlatego więcej uwagi poświęca ich destrukcyjnej mocy niż dobromu wpływowi.

Słowo stanowi fundament życia lub jest jednym z nich.

Los słów w zasobach ludzkości bywa różny. Niektóre umierają jak ludzie, znikają, inne stają się anachroniczne, niezrozumiałe bądź rzadko stosowane, a w miejsce jednych i drugich powstają nowe. Słowa nieużywane lub przestarzałe można odszukać w starych księgach bibliotek i archiwów. Mają tam swoje miejsca niczym w Instytucie Pamięci Słów.

Słowa wyrażają wszystko – od miłości, czułości, zazdrości, radości po nienawiść i zbrodnię. Ich moc jest niemierzalna. Kształtują światopogląd, marzenia i wyrażają myśli. Ukrywają się w obrazach malarzy oraz w wyobraźni każdego z nas. Wypowiadane lub pisane są naszym przewodnikiem, nauczycielem i drogowskazem.

Słowa, zwłaszcza te niszczące, powinny jednak być objęte rygorystyczną kontrolą. Najlepiej żeby każdy z nas objął je kontrolą własnego umysłu.

Lecz w świetle dużego zapotrzebowania na tak zwaną wolność słowa i niechęć do wszelkiej autocenzury może być z tym pewien kłopot. Człowiek w obronie tejże wolności zaprotestuje; uczyni to za pomocą ostrej broni – słów, i tak koło się zamyka. Słowa są silną bronią obosieczną, z której należy korzystać umiejętnie.

Rozważnie posługując się słowami, dbamy także o czystość języka. Czy formułując tekst dostatecznie uważnie, potrafimy to zrobić? Czy jesteśmy w tym wystarczająco wyedukowani? I na ile jest to dla nas ważne?

Na pewno w tej dziedzinie jest jeszcze wiele do zrobienia, bowiem czystość języka, czy raczej poprawność i dostosowanie się do norm językowych zależy od samoświadomości, wiedzy i chęci użytkownika, na co – jak na czystość powietrza – oczywiście mamy wpływ.

W obu przypadkach nie oczekuję od razu krystaliczności i puryzmu, a jedynie marzy mi się uważność, dbałość i rozważa.

Z małego ziarenka wyrasta przecież duże drzewo, potem las, a w końcu wiele lasów.

W świecie roślin zdarzają się też te trujące, ale to nie znaczy, że trzeba je niszczyć, wystarczy rozważnie stosować, a wówczas niektóre mogą nawet stać się lekarstwem.

Pisząc o słowie, warto wspomnieć, że pierwszy słownik na świecie powstał przed naszą erą, a pierwszy wielki i w swoim czasie obejmujący niemal całą polszczyznę słownik języka polskiego został stworzony przez Samuela Bogumiła Lindego w latach 1807-1814.

Język polski liczy obecnie około 500 tysięcy słów.

Słowa – ostra broń, na którą nie trzeba żadnego pozwolenia, ale jest to też kojące i pobudzające lekarstwo dla duszy, skryte w hasłach: LITERATURA, film, teatr, malarstwo, rzeźba, grafika i muzyka. Mówią do nas, dostarczają bogactwa emocji i treści. Słowa te nazywam *ukrytymi w sztuce*.

Literatura kształtuje społeczeństwa i narody oraz buduje nas jako ludzi. Pozwala poznawać siebie. Poprzez mnogość słów i ich interpretacji literatura jest przeżywana przez każdego z nas inaczej, z inną nutą wrażliwości, radości, smutku, bólu, cierpienia, empatii czy strachu.

Dzięki literaturze trafiamy do różnych nieznanych nam wcześniej światów. Przenosimy się do nich i przeżywamy, dodając też swój nowy świat. Dziękując im, poznajemy również kolejne niezliczone światy i perspektywy.

Rozważne i odpowiedzialne stosowanie słów, to nasze stałe zadanie, nieustający obowiązek pracy nad sobą.

Bez słów, głównego budulca literatury, byłibyśmy bardzo ubodzy.

Rzecz o interpretacji

Kto jest twórcą interpretacji? Może powstała w sposób naturalny, jak życie na Ziemi.

Obecnie interpretacji podlega niemal wszystko. Najbardziej zajmuje mnie jednak interpretacja dzieł sztuki, pod którymi podpisuje się dany autor, twórca.

Sztuką można nazwać prawie wszystko, ale będę rozważać interpretację literatury ze szczególnym uwzględnieniem poezji, a także malarstwa, przede wszystkim abstrakcyjnego, rzeźby, w tym również abstrakcyjnej, i grafiki.

Interpretacja, jest, jak mierniam, poza analizą treści, jest podpowiedzią, prowadzeniem, wyjaśnieniem i narzucaniem jednej drogi myślowej, która staje się obowiązującą normą i której już nikt nie próbuje zmieniać. Śmiało wchodzi w twórczość autora, pomija wrażliwość, zmienia, fałszuje, czasem wzbogaca dzieło.

Jeśli przyjmiemy, że zadaniem interpretacji jest wydobywanie ze sztuki prawdy, piękna lub dobra, to w tym zbliża się ona do filozofii.

Sztuka jest adresowana do wszystkich, więc i jej interpretacja powinna być kierowana do każdego. Odbiorcom często wydaje się, że wiedzą, czym jest prawda, piękno, dobro, tak samo jak to, czym jest szczęście, radość, samotność, miłość. Żadne z tych pojęć nie posiadają wyraźnych ram ani granic; przenikają się, są płynne i postrzeganie ich jest subiektywne.

Jeśli interpretacja jest zgodna z zamysłem autora, to każda inna będzie poszerzeniem oddziaływania dzieła na odbiorcę.

Według mnie myśl, plan i efekt twórczy autora są najważniejsze i najprawdziwsze, ale też odnoszę wrażenie, że oczekuje się od odbiorcy takiej interpretacji, której już ktoś wcześniej dokonał, jako tej jedynie słusznej. Jest to jednak sprawa bardzo indywidualna, zależna od intelektu, wyobraźni, psychiki i wrażliwości, a także wcześniejszych doświadczeń. Nie zawsze wynika z niej pomysł autora, zdarza się, że żaden odbiorca nie poczuje tego, co autor chciał wyrazić i przekazać.

Wydaje się, że najprościej rzecz się ma, gdy autor przedstawia autobiograficzne doświadczenia i przeżycia, ale nie zawsze ujawnia ich osobisty charakter i czasem celowo prowadzi odbiorcę nowymi ścieżkami, tak by osobiste przeżycia autora pozostały niewykrywalne, nawet mimo wnikliwej analizy jego twórczości.

Sztuka i jej efekt – nie jest zagadką w jej dosłownym znaczeniu, mimo zagadkowej i niejasnej natury.

Nie chcę, jako odbiorca, czuć narzucania interpretacji; czym innym jest bowiem swoboda rozumienia, a czym innym – obowiązek. Interpretując sztukę, mogę to zrobić inaczej niż ktoś mi to narzuca, nawet jeśli tym kimś

jest sam autor. Chęć wpływania na zmianę mojej interpretacji, jest już formą odbierania mi wolności. Często odgórna interpretacja jest tak przekonująca, że ulegam jej i zmieniam swój pogląd na dane dzieło, ale proces ten jest moim wyborem. Wydaje się jednak, że interpretacja jest najtrafniejsza wtedy, gdy jest zindywidualizowana, konstruktywna oraz zgodna z rozumieniem i odczuciem odbiorcy. Interpretacja jest formą krytyki, recenzją, a zatem ma prawo być tendencyjna. Może zachęcać lub zniechęcać; ulegamy jej treści jak najbanalniejszej reklamie, oczywiście – nie zawsze i nie wszyscy.

Według mnie najważniejszą osobą pozostaje tu autor – twórca, i to on ponosi największe konsekwencje i skutki niefortunnej, szczególnie szkodliwej interpretacji. Najlepiej więc jeśli pozostaje ona zgodna z zamysłem autora i swoją treścią dodaje, a nie odbiera. Tutaj prawie słyszę zarzut, że może być niezasłużona, ale skoro sztuka autora ujrzała światło dzienne, to czy zasługuje na bezwzględną negację? Istnieje skala ocen i należy z niej korzystać, żeby uniknąć gilotynowania, zarówno autora, jak i jego sztuki.

Narzucanie interpretacji (choćby w szkolnictwie) jest jak tworzenie i nakłanianie do religii, wiary, na zasadzie: nie rozumiem, ale wierzę.

Trochę inaczej wygląda interpretacja sztuki autora nieżyjącego. Wówczas pomocą może służyć znajomość genezy, historii, czasów, w których dzieło powstało, albo pomoc osób mu bliskich. Poza tym każda interpretacja powinna być akceptowana (może być ich tak wiele, jak wielu jest odbiorców) i nacechowana swobodą wypowiedzi oraz rozumienia; powinna istnieć równoległe z interpretacją odautorską, jako jedna z wielu.

Indywidualny odbiór sztuki jest bardzo cenny; autor może być usatysfakcjonowany, że powoduje u odbiorcy szerokie widzenie, a sam twórca czerpie z tego energię do dalszej kreatywnej pracy.

Jeśli sztuka z natury swojej jest adresowana do każdego oddzielnie i oczekuje różnych opinii, na zasadzie: sztuka nie ma granic, to znikają wszelkie ograniczenia w kwestii interpretacji.

Czyż interpretacja cegokolwiek, poza swoją podstawową rolą, nie jest związana albo równoznaczna z indywidualnym rozumieniem, oceną, osądem, pochwałą, uznaniem, zachwytem, naganą, wątpliwością? Czyż nie jest to wolność słowa, ale rozumiana i wypowiedziana tak, żeby nie okazała się siłą niszczącą, wszak słowa mają potężną moc?!

Należałoby wykluczyć interpretowanie szkodliwe, brak obiektywizmu i życzliwości. Różnorodność interpretacji sztuki daje odbiorcy możliwość różnorodnego rozumienia i odczuwania poprzez sztukę wszystkich pojęć, cnót, które się przenikają; pozwala na indywidualizm. Czy nie powinien istnieć obowiązek autora do umieszczania własnej interpretacji i następnie oczekiwanie na pozostałe, dokonywane przez każdego odbiorcę? Czy gdyby interpretacja autora była obowiązkowa lub była wynikiem jego woli, to kło-

potliwym okazałoby się pytanie o miejsce, w którym umieścić rozwiązanie, czyli interpretację autorską, żeby stanowiła ukrytą odpowiedź?

Czy to w ogóle możliwe w odniesieniu do dziedzin sztuki wymienionych na wstępie?

Sztuka nie zna granic. Interpretacja również. Nieznane są możliwości człowieka, ale chęć poznania jest motorem twórczości.

Grażyna Kasprzak

Miejskie zoo

Rozpędzony czas
przelewa tłum
w klepsydrach krecich przejść

Wężę pojazdów
zamknięte w korytarzach ulic
wpatrując się w kolory
sygnalizatorów świetlnych
poddają się procesom
odruchów warunkowych

Skóry zebr
wdeptywane w asfalt
rozpoznają w ulicznym szumie
tętent ich własnych kopyt

ludzie-mrówki
biegają
taszcząc swoje słomki
nie wiadomo dokąd i po co

Tylko ptaki
śmiejąc się ze zniewolonych
lecą wprost w niebo
gdzie nikomu się nie spieszy

Samotność

plama coca-coli
na podłodze
mlaska
glaskana podeszwami kapci
chudość ogryzka
piętrzy się
gdzie-bądź lub gdzie-nie-bądź
niedbalość

nadmiarem czasu
wybija miarowe
to tak to to

Stary Syzyf

Powykrzywiane palce
wyżłobiły kratery
w odpornej pokrywie kamienia.
Stopy zrogowaciały
od ciągłej wspinaczki.
Łydki, twarde, jak serca bogów,
poznaczone węzłami żył
drżą przy każdym kroku.
Plecy pochylone nad kamienną bryłą
skurczyły się i skruszały.

Już nie mogę! Nie chcę!
Niech mnie przygniecie kamień.
Niech stanie się nagrobkiem.
Bogowie, okażcie miłosierdzie.
Już nie mam siły
niczym was obrazić.

Wieża Babel

w fotelu
przed telewizorem
w samym środku
wiadomości ze świata
skąd tak blisko do gorącej kawy
i codziennej gazety
na fundamencie ciepłych kapci
mozolnie
zbudowaliśmy
naszą własną
Wieżę Babel

Joanna Kożan-Łazor

Wiersze¹

Po deszczu...

Dwie krople
pękate ze szczęścia
srebrzą się w uśmiechu.

Leżąc

Ta wysoka trawa
to ścieżka do nieba.
Listkiem zaczepiona
o chmurkę
podążam za mrówką.
Z koszyczków
wydlubuję ziarenka
na drogę.

Noc

Nadciąga
czarnymi skrzydłami ptaków.
Biały puch mleczy
zapięty
na zatrzaski
gwiazd.
I ta ciepła dłoń wiatru
idąca przez świat...

Zaproszenie

Biała sznytka
księżycy

¹ Z tomiku *Dla Jadwigi...*

na ciemnym obrusie
rozsypanych gwiazd.
I ja
z zadartą głową.
Takie nic
puste i głodne.
Niektórzy wyją.
Ale ja schowałam głos
do kieszeni.
I karmię się
c i s z ą...

Haiku

Srebrne buki
po czerwonym dywanie
odchodzą w sen.

Słodysz lata
zamknięta w pomarańczy
księżycu.

Być kobietą

Podwórko

Zabawa z dziewczynkami. Wszystkie starsze. To koleżanki mojej siostry.
Nagle:

– Idzie Jacek!

Prysnęły w różne strony, przepychając się w ukryciach. Mam krótsze nogi, słabsze ręce – nawet nie próbuję. Stoję koło kratki piwnicznej. Idzie. Powoli przechodzi przez nasze podwórko. Uśmiecha się do mnie. Jest wyso-ki i miły. Wygląda na starszego niż one. Dreszczyk emocji mija. Wypatrywa-łam go później wielokrotnie. Nie pojawiał się.

Hanka

Pętam się samotnie po ulicy.
– Cześć! Jak się nazywasz?

Podchodzi do mnie dziewczynka, może trochę starsza. Odważna. Z inicjatywą.

– Cześć... – ucieszyłam się, że komuś wpadłam w oko. Rozmawiamy. O lodach, o lalkach, o szkole... Chyba chodzi do szkoły. Ale dlaczego dziś nie?

– Wiesz, gdzie mieszkam? Chodź! Zobaczysz.

Jej kamienica stoi koło mojej. Wdrapujemy się na najwyższe piętro. Strych. W środku dość przytulnie. Najbardziej wypasiona jest toaletka. Mama też ma taką, ale... Ile tu pudeleczek, słoiczków, szminek, pudrów, lakierów...!

– Pomalować ci usta? – podeszła do lustra i zaczęła się malować.

– Nie! – przestraszyłam się. Dopiero bym oberwała od mamy...

– Chce ci się kupę? Bo mnie tak. – Schowała się za filar i kucnęła nad gazetą. Zawinęła efekt i wyrzuciła przez okienko. Roześmiała się.

– Nie mamy ubikacji. Muszę schodzić do sąsiadów. Ale tak mi wygodniej.

Zaskoczenie nie pozwoliło mi się oburzyć. Patrzyłam bez komentarza. Hanka wróciła do malowania paznokci.

Do domu wróciłam spóźniona. Mama się gniewa. Ja milczę. Wiem, że tej znajomości nie pociągnę.

Cmentarz

Zwolniona wcześniej ze szkoły – były badania płuc – wracam sama do domu. Jest ciepły wiosenny dzień. Zza cmentarnego parkanu wystają kwitnące gałęzie. Zerwałam kilka układając w bukiet. W bramie stoi mężczyzna.

– Jaki ładny bukiet! Chodź, nazrywam ci jeszcze z tamtych wysokich gałęzi.

Taki sympatyczny pan. Nie zrywa się kwiatów na cmentarzu. Widocznie on może. Zakręcamy w alejkę jaśminową. Staram się być grzeczna i miła.

– Nie chce ci się siusiu? – kręcę głową, że nie. Taki opiekuńczy pan?

Z kasztanowej alejki wychodzą naprzeciw spacerowicze.

– O! Ania! Co tu robisz?

– Dzień dobry – witam się grzecznie. To znajomi rodziców. – Ten pan zrywa mi jaśmin.

Mój towarzysz przychyła gałęzie i zrywa pachnące gałązki. Wręcza mi je i odprowadza do następnej bramy.

Powrót do domu. Chciałam porozmawiać. Czułam, że było w tym coś dziwnego. No i spotkałam znajomych...

– Kochanie, nie mam czasu. Jedź!

Plaża

Pierwsze gorące dni lipca. Całą rodziną rozłożyliśmy się na plaży. Siostra z tatą poszli pływać. Ja bawię się z młodszym bratem. Nagle kątem oka spo-

strzegam ramię mężczyzny. Przyciągają mój wzrok czarne gęsto porastające włoski skórę. Właściciel wyczuwa moje zagapienie. Kładę się za mamą na kocu. Pulsowanie w skroniach.

Siostra

Wpadła po szkole z koleżanką i grzebią w mamy bieliźnie. Dlaczego? Rozmawiają i się śmieją. Pokazują mnie jakieś tasiemki, paski. Tłumaczą niezrozumiale. Udaję, że rozumiem. Mama będzie się gniewać!. Odchodzę. Z tyłu słyszę szepty i postukiwanie szuflad.

Prywatka

Towarzystwo rozmaite. Dziewczyny i chłopcy z tzw. dobrych domów. Też jestem zaproszona, chociaż czuję, że – wiekiem niewiele – ale świadomością jakoś do nich nie pasuję. Są zdecydowanie starsi. Znam wszystkich. Tańce. Gry towarzyskie. Fanty. I na mnie przypada pocałunek. Nic nie czuję. Zbyteczny krępujący epizod. Jest i Antek. Z gitarą. Chce się umówić?! Brrr... Muszę zniknąć z tego towarzystwa.

Tato

Przyjechali dziadkowie. Rodzice taty. Śpimy w jednym pokoju. Dziadek chrapie. Lubię to. Czuję spokój i bezpieczeństwo. Tym bardziej, że znowu czymś zdenerwowałam mamę. Zasypiam powoli i głęboko. Budzę się, kiedy załedwie świta. Mokro... Coś się stało? Chcę się zerwać... Krew! Jestem chora? Może to i dobrze. Mama będzie dla mnie łagodniejsza... Leżę. Czekam. Pojawia się w drzwiach

– Mamo, krew...

– Cicho! – wycisza mnie szybko i zabiera do łazienki. Coś mi tłumaczy. Pokazuje, co mam robić. Wszystko przyciszonym głosem. Nie czuję się wyróżniona łagodnością. Po prostu instruktaż higieniczny. Wchodzę w dla mnie świat niepokojący i niemiły. Tym razem obyło się bez bólu. Ale to był dopiero początek.

Tata przed śniadaniem wyszedł z psem. Zwolnił mnie z obowiązku. Wraca...

– Masz! To dla ciebie, kobietko! – wręcza złocistego mniszka.

A Bej szturcha nosem.

Anna Kulesz

zaczytanie

zanurzam się w słowa
oddalona od rzeczywistości
przy czytaniu czas biegnie szybciej

pozostawiona na kuchence kasza
pęcznieje odessana z wody
jak moje myśli odcedzone
od zewnętrznego świata

trudniej oderwać się od książki
niż wyszorować przypalony garnek

czytanie cenniejsze od jedzenia
bo jak dusza syta
to wiem że ciągle żyję

jeszcze na chwilę

jeszcze na chwilę zatrzymam wspomnienia
przepłynę wzburzony ocean pragnień
łodzią z żaglami z motyli skrzydeł
dotrę do brzegu

rozwieszę na plaży
postrzępione pióropusze emocji
smukle nogi węzami do pach
zniewolą spojrzenia
i spalę się w ekstazie
jak ptak nad wulkanem
którego gorąca magma
unicestwia wszelkie istnienia

migawka z Florencji

rude dachy jak kafelki
przyklejone do brzegów rzeki Arno

marmurowy Dawid pręży mięśnie
przed walką z Goliatem
kamień wykuty dłutem Michała Anioła
poddal się woli artysty

pycha Medyceuszy twardsza od skały
nie spełnili życzenia mistrza
o skromnym pochówku
na jego prochach
utworzyli okazały
symbol swej potęgi i bogactwa

śmierć odbiera człowiekowi moc
decyzje podejmują żywi

niedziela dla gości z Warszawy

(wspomnienie z roku 1956)

szeleści satynowa suknia ciotki
migają paski garnituru wujka
w zieleni ogrodu
w piekarniku węglowej kuchni
dochodzi sernik
świdermajer gotowy na odwiedziny
mała dziewczynka
bawi się z kotem na werandzie

niedziela to czas dla gości z Warszawy

niecierpliwość i oczekiwanie
powitania przy furtce
wzdłuż ścieżki
mienia się perłowo świerki
gwar i śmiech do wieczora
igła patefonu drga na ebonitowej płycie

przy tangu obcasy rwą trawnik

niedziela to czas dla gości z Warszawy

rozmowy przy kawie
praliny z marcepanowym nadzieniem
chałwa i migdały w karmelu rozleniwiają
na werandach gwaro
zmierzch pachnie konwaliami
dziewczynka w hamaku przytula kota

niedziela to czas dla gości z Warszawy

Pająk fasola

Nie lubię pajaków, ale mam świadomość, że sporo ich mieszka w moim domu. To nieuniknione, bo wokół są drzewa, a okna ciągle otwarte, aż do jesieni. Dobrze, że nie widzę, jak się wspinają po ścianach albo szukają miejsca w niedostępnych dla mnie zakamarkach mieszkania. Wędrują pewnie nocami, być może nawet po koldrze, chociaż podobno unikają ludzi. Dzisiaj jednak zdarzyło się coś, co temu przeczy. Siedząc w ciszy nocnej przy komputerze, wychwyciłam kątem oka jakąś ruchliwą czarną fasolę na krótkich nogach, która niezrażona moją obecnością stanęła obok. Zerwałam się wystraszona i zamarłam w takim jak ona bezruchu. Nagle fasola zniknęła, wtapiając się w ciemne wzory dywanu, a ja trwałam tak jeszcze jakiś czas, by za moment rzucić się w pogoń za nią. Niestety, bez pomyślnego dla mnie efektu. Może mój gość powędrował do sypialni, gdzie i ja za chwilę miałam się udać. Wyobraźnia zadziałała natychmiast i na spokojny sen liczyć nie mogłam, więc moje sto miliardów komórek nerwowych w głowie nie miało tym razem szans na regenerację.

Nie przekonują mnie argumenty, że pająk to symbol szczęścia i ochrony domu, ale nie wykluczam innej opcji, że jego widok, to zachęta do rozwijania twórczych umiejętności i kreatywności, bo kilka dni temu narzekałam na brak tematów i chęci do pisanía.

Przypadek z pajakiem natychmiast zaowocował. Siedzę i piszę.

Pierścionek z malachitem

Początki ciąży były bardzo trudne. Amelia walczyła z nudnościami. Po powrocie z pracy zwijała się w kłębek i leżała tak prawie do wieczora. Było ryzyko przedwczesnego porodu i lekarz skierował na założenie szwu. Każdy pobyt w szpitalu wiąże się ze stresem, ale bezpieczeństwo dziecka jest najważniejsze. Zabieg odbył się pod narkozą w pełnym uśpieniu. Rodzina czekała z niepokojem, a mąż usiłował zająć myśli, siedząc nad projektem i wykonaniem pierścionka dla żony. Drobne prace jubilerskie to hobby, które najskuteczniej pozwalało mu oderwać się od wszelkich problemów. Tym razem nie tylko chciał się wyciszyć, ale również sprawić żonie miłą niespodziankę po zabiegu. Wiedział, że Amelia lubi błyskotki, a srebrny pierścionek z malachitem na pewno ją ucieszy. Kamień, który stosowano w starożytności jako talizman chroniący przed negatywną energią, wydał mu się bardzo odpowiedni.

„Pani Amelio, pani Amelio, budzimy się...”. Lekarka prowadząca przychodziła już kolejny raz, ale senność nie pozwalała otworzyć oczu. Tak dobrze było znowu zapaść w uspokajającą ciemność.

„Ale, co to? Ktoś z trudem usiłuje założyć coś na palec... mocuje się, zakłóca sen, przeszkadza...”. Urywane myśli przywracały świadomość. Amelia zmusiła się, żeby przezwyciężyć ciężar powiek i sprawdzić co się dzieje. Zamglona zieleń malachitu nakładała się na zatroskaną i niewyraźną jeszcze, twarz męża, a gdzieś z oddali dochodził jego głos: „Podziała pani doktor. Wraca...”.

Elżbieta Kurdej-Oklesińska

Przy murze Barbakanu

Stara kobieta
przysiadła
przy murze Barbakanu.
Cięży jej torba
pełna zgnilego
zapachu śmietników.
Dziś był dobry dzień,
zebrała sporo puszek.
Stara kobieta odpoczywa
przy murze Barbakanu.
Jej dłonie wołają
samotnością...

marzec 2024

Odpywanie

W pokoju pełnym luster,
patrzę na swe odbicia
w tysiącu kryształowych tafli,
każde w innej perspektywie.
W unoszącej się świadomości,
ponad zmartwieniami – umyka życie.
Uwolnione myśli, jak kolorowe smugi,
odbijają się w kryształowych szkiełkach.
Na granicy pomiędzy ciemnością a światłem,
nocą a dniem, między prawdą a fałszem,
słowa zastygają w przestrzeni,
opadają ciężko
mokrymi skrzydłami motyli,
stają się bezgłośnie...
Zostawiam za progiem zgłęb
rzeczywistej teraźniejszości.
Zamykam drzwi do przeszłości,
zrzucając płaszcze ograniczeń.
Tylko śmierć schowała się za rogiem,
nie odejdzie sama,

czeka na moje towarzystwo.
Odpywam lekko w bezkres,
ciesząc się wolnością...

8 sierpnia 2024 r.

Śpiący na łące

Na skraju lasu
w trawach zieleni,
gdzie lży rosy
rozwieszone
w pajęczej sieci,
śpi młody żołnierz.
Obok głowy
z jasnymi włosami
leży wgnieciona w ziemię
czapka.
Śpi pod chmurą białą
na łożu zielonym,
w które zagląda
słoneczne światło.
Spokojnie śpi,
z uśmiechem
lecz zimno mu chyba.
Natura go kołysze
i tuli do snu
a on śpi spokojnie,
rękę ma pod głową
i dziurę czerwoną na piersi...

2024

Katarzyna A. Liszewska

Literka 'Pe'

Do tych, co smagają na oślep,
Pejczem słów i żelaznych aluzji łańcuchem
bo są na tyle niemądrzy,
by w ogóle pejcz do ręki brać:
Cyrki ze zwierzętami są passe,
Cudze fantazje erotyczne
niech afiszują się w czterech ścianach sypialni
A słowo 'pejcz' niech boli w SJP,
Zamknięte pod literką 'pe'.

Ćma

Poparzyłam skrzydła.
Podleciałam zbyt gwałtownie,
ale ufnie jak Dziecko.
Poparzyłam się nie dlatego,
że Ogień prawdziwy,
ale dlatego,
Że (nie) jestem Twoją Ćmą.

Jak teraz odleczę?

Do Tłumacza

Jestem Czarowną Bajką.
Nie przekładaj Mnie,
Nie ma Wydawcy,
język
niezrozumiały dla Większości Czytelników.
Dzieci się boją, a Dorośli kręcą głowami,
ale
Niewidomy pies, na ścieżce, podbiega
I trąca ufnie nosem.
Psy – Baśnie i Czarownie Straszne Bajki
W Jednym Wiernym Tłumaczeniu...

Dwa pytania

Zielonkawa krew mięty
w szklanej probówce dzbanka,
plasterek cytryny chłodzi się w lodówce...

A jaki kolor ma krew Mrówki,
zalanej wrzątkiem w celach leczniczych?
I czy Mrówka jest wierząca, by
Jej cierpienie koloryzować Sensem?

* * *

grzech pierworodny reinkarnuje
w każdym kolejnym romansie na Kuli Ziemskiej
Linia frontu przebiega przez pojedyncze ludzkie serca
Nie ma wygranych ani przegranych
Jest Niedosyt Raju
Mężczyzn bez liku,
Kobiet tyle, co kot napłakał
albo na odwrót
Ostatnia deska ratunku to
wykupiona godzinna rozmowa z prostytutką
gdy już brak rozmów w Domu Rodzinnym,
Niepublicznym

11.11.2024

Alina Makówka

Niebieski sweter

Zaskoczył mnie kochany tamtego wieczora
Wielki czwartek, ferie, dosyć późna pora
Ciasta i pieczenie pachniały wspaniale
Ja na niego przecież nie czekałam wcale
Lecz serce mi biło jakoś niespokojnie
Któż serca dziewczyny dygotanie pojmie

Psy szczekały przed furtką, no a tam na wietrze
Stał on, Apollo, w swym niebieskim swetrze

Miękkość tego swetra czuję przez pół wieku
Czy miłość tak długo może tkwić w człowieku?

Zwierzenia siedmiolatka

Dziś w siódmą rocznicę mego urodzenia
Mam całkiem logiczne, sędzę, przemyślenia
Nie mam z kim, niestety, rozważyć tej sprawy
Choć mi bliżej smutku, niżeli zabawy

Kochani rodzice, powiem prawdę całą
Że mi poświęćcie czasu bardzo mało
Bo gdy już przyjdziecie zmęczeni po pracy
To jesteście dla mnie jacyś obcy tacy

Wieczorem, niestety, w bardzo dużej mierze
Ty, tatusiu spędzasz czas przy komputerze
A mama się domem zajmuje, niestety
Wszakże to jest przecież powinność kobiety

Gdy będziecie starzy, gdy będziecie chorzy
Wtedy do miłości już będziecie skorzy

Przesłanie do młodych matek

Karmcie matki piersią dziatki
Bo to na mózgowe płatki
Wpływ ma przecież niebywały
Zwłaszcza gdy jest człowiek mały

Bo gdy mały nie nasiąknie
Mlekiem z piersi rodzicielki
To w dorosłym życiu z płatów
Ma pożytek niezbyt wielki

I choć nawet się wykształci
Zwiedzi wszystkie świata strony
Nadal będzie małym człkiem
Na butelce wykarmionym

Wybór

Ja wam coś powiem i nie ma w tym lipy
Chodzą po świecie przeróżne typy
Przykładem pierwszy mój narzeczony
Strasznie się wahał gdy szukał żony
Mógł mieć ostrygę pod białe wino
I spędzić życie z mądram dziewczyną
Instynkt wziął górę, no i o dziwo
Wybrał parówkę pod gorzkie piwo

Wierność

Pewien mąż bardzo prawy, chciał iść pieszo z Warszawy
Na pielgrzymkę do miasta świętego
Bo kobietę wspaniałą, mądrą i niebywałą
Zechciał los w darze wybrać dla niego
Aż na brydża wieczorem, wyszedł kiedyś z wigorem
Wszak od losu wolną wolę dostał
Zasiedział się zbyt długo i chciał już tylko z tą drugą
I z tą drugą na zawsze pozostał

Fraszki

Wyznanie filozofa

Niech twe kształty będą na mą duszę lekiem
Bo od intelektu to mam bibliotekę

Współczesny amortalizm

Każdy chce żyć długo bez nijakiej miary
Lecz paradoksalnie nikt nie chce być stary

Na mowę parlamentarną

W młodości słuchałem uwag niebanalnych
Używaj mój synu słów parlamentarnych
Kiedy to wspominam, to doznaję szoku
Bo dziś język parlamentu to język rynsztoku

Fraszka na ożenek i rozwód

W dniu ślubu miłość w każdym jest słoweczku
Misiaczku, żabusiu, tygrysku, koteczku
A w czasie rozwodu jest już inna mowa
Stary cap, baran, osioł i opasła krowa

Szczerłość

Usilnie żądała od męża rozwodu
Choć podać nie mogła żadnego powodu
W końcu stwierdziła:
Godności to mojej uwłacza
Mieć za męża rogacza

Różnica

Każdy wam zapewne homo sapiens powie
To, że demokracja to nie bezholowie

Z ostatniej chwili

Patrząc dookoła mądry człek się zżyma
Ze się chwali wiosnę, gdy wokół jest zima

Kompleks marki

Nie wszystko skryje, mój modny panie
Twoje markowe ubranie

Anna Mikos

Limeryki

Wybrali się do Wrzeszcza
bo świat ich nie rozpieszczał.
Czas pędził jak szalony.
On mówił jak do żony,
a ona chciała wieszcza.

Na plaży w Krynicy
on w spodniach ona bez spódnicy
żegnali upojne lato.
Ono wdzięczne im za to
Tuliło ich w korku na ulicy.

Rzecz działa się w Nałęczowie.
Dwoje, mając się ku sobie,
w obrocie ciał poza łóżę,
poczuło twarde podłoże,
choć było im jak w niebie.

Kazimierz z Kampinosu
chcąc odmiany swego losu,
odezwał się na urodziny
glosem, nie swoim, lecz dziewczyny
z nutą erotycznego patosu.

Wiersz grudniowy

Ciemność szybko zapadła
nad drogą – niemym śladem podążań.
Tęsknota wymyślała spotkania w szpitalu.
Potem długo śniła.

Budziły nas mgły grudniowe,
wygłodniałe ptaki zaglądały do okien.
W twoich dłoniach światelka
i zapach perfum.

Kolejny cud z nieba
zamknięty w kształtach śnieżynek
symetrycznych i niepowtarzalnych
jak niewypowiedziana czułość ciał.

Ziemia stwardniała od zimnego Księżyca
i rozpalono na długo w piecach i sercach.

O nas

Miłość może się czasem powtórzyć.
Lato zdarzeń jest darem,
jeśli oboje chcemy.

Niesiona wzruszeniem
zapełniłam głowę
blaskiem twojego uśmiechu –

aż do chwili zjawienia,
kiedy wypowiadamy cicho
złote myśli codzienności.

Wtulasz mnie w siebie,
bym dostrzegła,
jak przejrzyste powietrze
zatrzymuje nasze spojrzenia.

Utkwały nas słoneczniki i woda,
szepty w falujących ciałach.
Utkwały nas...

Alicja Nałęcz

Impresje

* * *

chciałabym być barwą
w wiosennym ogrodzie
rozplamić się pod okiem słońca
na zielonym obrusie
być chwilą krwistoczerwoną
potem żółtą, fioletową i modrą
dać się utkać jak barwny gobelin
ręką mistrza
a po deszczu rozsypać w ogrodzie
doskonałość tęczy

* * *

słońce rozbeltane
rozproszone słońce
srebro pelzające
świecące grzywy rumaków
pędzą złotą drogą z daleka
...
spokój, róż nieskończony
nad kryształowym granatem,
wyznacza granicę oczom widza

Zachód słońca nad Bałtykiem

Światła północy

na antypodach raju
leży kraina szatana
w czarnych sadzawkach
gotuje się tam błoto,
a Ziemia z lotu ptaka,

tworzy abstrakcyjne dzieła,
bez boskiej harmonii.
nagle... rozbłyskają seledyn, róż i fiolet,
światlisty taniec
przywraca harmonię.
zapada kurtyna
stoisz oniemiały
w środku wszechświata

Zorza polarna nad Islandią

Krystyna Obara-Morawska

Łopiany cioci Kazi*

obie z siostrą
w wysokich łopianach
niewidoczne

tę kryjówkę znali bracia
oni teraz leżeli obok rodziców
na ziemi przed domem

tam stał ten z karabinem
poruszał ustami
jakby liczył rozglądał się

nic nie słyszała
i wtedy i dzisiaj tamte chwile
są dla niej ciszą

jest też obraz jaskrawej czerwieni
w słońcu pod oknem
czy to mogła być pelargonia

dlaczego nagle
z rozłożystej lipy
zerwała się chmara ptaków

po czterdziestu latach
w tym miejscu** zobaczyła
cztery cynowe wiadra pełne kości

piszczele wystawały najbardziej
ale gdzie głowy
przekopano ziemię wokół chałupy

nie mogła tu nie przyjechać
przysięgła to wtedy
nie tylko liściom łopianu

w podróży na wschód

myślała z wdzięcznością o tych
szarozielonych parasolkach

26-27 kwietnia 2023

* Na podstawie rodzinnej opowieści uczestniczki dramatycznych wydarzeń
na Wołyniu w 1943 roku.

** Miejscowość Podiwanówka, Wołyń, Ukraina.

Powiaстка przy piecu

piec płonącym polanem
palił pobliskie plecy Pawła

przesuń pupę
powiedziała Paulina

przerażona podduszała
pojedyncze płomyki

pulower panicza
przestał płonąć

przyjemnie przytulnie
przy pięknym piecu panienki

pradziadek Polinary przerobił
przedwojenne pozostałości

powstał przedziwny podgrzewacz
przeogromnej przestrzeni

pokoiku panny pokojowej pod podłogą
parteru pięter paru poddasza

przechodnie przechodząc
podziwiali podnosząc powieki

przychodzili przytulali palcami
powierzchnię podgrzanych płyt

przeceniali pomysłowość
pracowitość przodka

portretowy Polinary patrzył
przez przygody pokoleń

panieneczka Polinka podówczas podłotek
przycupnęła przy piecu płonąc

polykając Piotrusia Pana
przybyłego przed podwieczorkiem

przymilania podczas podawania
puddingu przekroczyły

poziom pokory potrzebny
przyzwoitej pannie

przysypiająca prababcia
pogroziła palcem prawnuczce

przeuroczy Piotr popatrzył
pojadł popił potańczył

potem przez ploty pomykając
porzucił płaczącą panienkę

polonista Polinki przypominał
pieszczotliwe prośby pisz peany

powróci powróci powróci
parskały polana płomieniem

podniósł powieki Polinary
przeszczęśliwy pozycją portretu

(pośłowie)

prawowici potomkowie
pieszczą przemarznięte prawice

pewien pan poważnie

przedsięwziął poślubić

podstarzałą porzuconą
Polinę płakała

pa pa pa parzy
przelykał podaną polewkę

przedziwna potrawa
potrafi przekazać powiedzenie

potworną prawdę
pana pożegnamy

20-27 grudnia 2024

Przyjemności sensoryczne

(piosenka – tekst i melodia)

Gdy świat drzwi
otwiera wiosnie,
drzewo sokiem
kipi sprośnie.
Kwiat w kolorach
tak uroczyście!

Refren (2x):
To ja mam,
to ja mam,
to ja mam
przyjemności sensoryczne!

Kiedy wiatr
na rower wsiadł
i mnie wiezie,
wiezie w świat
tak zamasyście!

Refren: To ja mam ... (2x)

Na pogodę
w kopcu kreta
jakiś ruch.
Do teatru mąż i żona,
już kareta zaprzężona,
a skowronek ponad nimi tak lirycznie.

Refren: To ja mam ... (2x)

Auto wiezie
mnie do celu wstęgą szos.
Z prawej rzepak,
zieleń łąki,
boćków sto.
Kierownica okrągłutka oczywiście!

Refren: To ja mam ... (2x)

Dzisiaj list ktoś
do mnie pisze.
W każdym słowie
radość myślę,
więc balety Czajkowskiego spontanicznie

Refren: To ja mam ... (2x)

Na widowni ciocia Basia,
tam z Tereską wuj z Podlasia,
tu Joanna, dwie Bożeny.
Ja nie mogę zejść ze sceny,
kiedy śpiewam serce takie romantyczne.

Refren: To ja mam ... (2x)

W południowej kawy porze
w górach, w lesie, na jeziorze ...
czy pod dachem, czy pod chmurką
z mlecznej piany białą górką
... tak aromatycznie

Refren: To ja mam ... (2x)

Kiedy pociąg mknie po szynach ...
turkot, stukot, a za szybą pola,
drzewa, ścieżki, łąki, las.
Wszystko mija, nic dwa razy!
Jaki cudny pasażera czas!

Refren: To ja mam ... (2x)

Gdy kajakiem przez Pilicę
wiosłem macham,
jak przyjemnie się kołysać
sobie śpiewam.
Ochłapana z prawej, z lewej
sunę ślicznie ...

Refren: To ja mam ... (2x)

11.03.2024

Tekst i melodia: Krystyna Obara-Morawska

Krystyna Rejniak

Podsumowanie roku

Styczeń

Wszystko nowe jest na tym świecie,
nasze postanowienia odwieczne,
zabawa karnawałowa trwa,
w dostojnym tańcu polonezie.

Luty

W kurortach śnieżnej zimy
uroki zjazdów z wysokich gór
na byle czym, aby się tylko ześlizgnąć,
może uda się na trasie spotkać yeti.

Marzec

Przekomarza z zimą, że czas jej odejść,
ktoś inny już czeka za płotem,
a tu raz sypie śnieg a raz pada deszcz,
sędzia z góry wydaje wyrok – wiosna.

Kwiecień

Zmywa i porządkuje wszystko,
choć czasem lubi sobie popleść,
z nadzieją popatrzy w przyszłość,
powoli rozwija swój zielony dywan.

Maj

Rozrzuca po zieleni pąki kwiatów,
koszyk z wałówką szykuje na majówkę,
chce się żyć zjawiskową chwilą,
każdy człowiek szuka swojego Amora.

Czerwiec

Widok promieni słonecznych,
smak słodkich truskawek,
na progu nadchodzącego lata,
pakujemy walizkę na podróż.

Lipiec

Zapach lasu, wiatru i szum wody,
letni odpoczynek letników,
kapitan rzucił cumy żaglówki,
wypływając w nieznanym kierunku.

Sierpień

Kłosa żyta dojrzewają na polu,
owoce i warzywa nie chcą być gorsze,
spichlerz wypełnia się bogactwem,
choć napelnia się refleksja o przeszłości.

Wrzesień

Dzwonki obwieszczają czas do szkół,
gospodynie robią konfitury z plonów,
lato zostawia jesieni dojrzałą Matkę Natury,
w poczuciu wywiązania się z obowiązku.

Październik

Kolorowa atrakcyjna cieszy oko,
choć chowa się w czeluści nocy,
kasztany i żołędzie są jej ozdobą,
tej chwili która nigdy nie wróci.

Listopad

Nostalgia nad krzyżem pochylonym,
Światelko płonie nostalgicznie
nad czasem – smutek, żal, rzeczywistość,
sensu życia na tym naszym globie teraz.

Grudzień

Zaczarowany i niezwykle czas,
na każdym kroku, dobroć bliźniego,
wielkie oczekiwanie na powtórzenie,
Corocznych narodzin Jezusa.

Minął bardzo dobry rok,
w Sylwestra ponownie powiemy sobie,
aby ten rok był jeszcze lepszy niż ten przeszły,
taka to jest ta nasza natura – niestety.

Ścigam czas

Wstaję przed czasem,
by nie pędzić za czasem.
Choć on mnie dopinguje,
by dobrze go wykorzystać.
Nie jest to takie łatwe,
by się zmieścić w ramach.
Staję na linii jego startu,
by się zmierzyć z nim na mecie.
On ciągle goni, aż po kres dnia,
by zobaczyć moje dokonania.
Uf! zagłuszyć to dobrym snem,
by następnego ranka znowu to powtórzyć.

04.07.2024

Halina Roszkowska

Przystanek

Na tablicy patrzy na mnie siedem minut.
Czekam.
Ziemia drży pod kołami.

W głowie – lot do Nowego Jorku,
ból zęba,
wizyta u dentysty.

Starość puka od środka –
w nogach,
w duchu, który jeszcze tańczy.

Autobus podjeżdża.
Wsiadam z dziurawą kieszenią na marzenia.

Za szybą mijam świat,
jakby ktoś inny za mnie oglądał.

Nowy maj – list

On pisze:
Maj przenika w ściany jak cień,
który nie wie, dokąd zmierza.

Drzewa
nie odwracają wzroku –
już nie mają czego szukać.

Nie czuję jego ciepła,
ale widzę,
jak czas wędruje po skórze,
rozciągając linie,
które nigdy nie miały kształtu.

Ty byś to zobaczyła –
jak wiatr zastyga,
jakby nie mógł znaleźć oddechu,
bo zrozumiał,
że nie ma już ścieżki,
którą warto podążać.

Ziemia milczy,
lecz pod jej powierzchnią
wybucha coś,
co nie mieści się w oczach –
ciągnąc w głąb miejsc,
które nie mają imienia.

Ona odpowiada:
„Mówileś.
Mówileś po chwili,
którą mam zamknąć w dłoni...”.
Ale jej nie czuję,
tylko pustkę,
która odchodzi w nieznane.

Patrzę przez okno,
gdzie świat odwraca wzrok,
jakby zapomniał,
co to znaczy mówić.

A w powietrzu
coś przechodzi –
zapach,
który nie należał do nikogo,
ale nigdy nie umarł
w mojej pamięci.

W nim unosi się ciepło.
Duch,
który nie szuka odpowiedzi.
Był już dawno.
Zna wszystko,
co zostało niewypowiedziane.

Gablotka niewidzialnych

Kryształ – kiedyś wrywano cię z rąk,
teraz – nie masz komu wypaść.

Gusta jak przyipywy,
rozbijają cię o półkę.
Bezużyteczność lasi się do ciebie,
przytula się kurzem.

Staleś.
Pieczęć świetności,
dowód statusu,
kwiatek w wazonie próżności.

Przestawiany.
Z kąta w kąt.
Rezerwacja w miejscu „widocznym”
Czyli nietykalnym.
Czyli nieistniejącym.

Lęk przed straceniem?
Już nie.
Teraz po prostu nie epatujesz.
Nie odbijasz światła.
Nie przyciągasz wzroku.

Cierpliwie czekasz.
Cisza w zanadrzu.
Czy czas znów nauczy się twojego blasku?

Katarzyna Rymaszewska

Gdzie jesteś Tato

Skończyło się życie, skończyło się lato,
gdzie jesteś teraz, mój słoneczny Tato?
Ty znależ odpowiedź na wszystkie pytania,
gdzie jesteś, gdy szukam Cię myślą od rana?
Czy jesteś tam, na tej nieznanej planecie
o której mówiłeś w Łazienkach w sekrecie?
Jak Giordano Bruno też wierzyłeś skrycie
w świat nieskończony i nieskończone życie.
A może żyjesz w ciele nowego dziecka,
gdzie jesteś, Tato, gdzie Twa dusza dziś mieszka?
Zamiast po Miejskich, chodzisz po Boskich Polach,
na spacer z rodzicami i braćmi dwoma?
Czy grasz tam nareszcie z małym Stasiem w piłkę,
a Sabra skacze, przeszkadza wam co chwilkę?
Jesteś tam świętym, stąpasz po białym dywanie,
i tu, bym pojęła świętych obcowanie?
Słyszę Twój głos, Twoje rady, Twe żarty.
Żyjesz wciąż we mnie jak oddech nieodparty.
Czy to się nazywa opieka duchowa?
Świat się nie kończy, lecz zaczyna od nowa?
A może w sądzie ostatecznym po drodze
zasiadasz jako mecenas w białej todze?
Sędzia Bielecki, ksiądz Czarnota u ławy,
wszystkich rozgrzeszacie, wygrywacie sprawę?
A może Pan Bóg ma tam replikę Kazimierza,
gdzie z radością całe swe włości przemierzasz?
Muszę to wszystko zrozumieć, te Twoje nieba?
– Jestem tu, córeczko, nie musisz, nie trzeba.

Warszawa, 02.09.2011

Kobieta z Charkowa

Spadła na mnie jak dron z jasnego nieba.
W ciche zimowe popołudnie,
na ulicy Szwoleżerów, przed blokiem mojej matki.
Miała ciemne długie włosy rozwiane wichrami losu,

głębokie, czarne, zapadnięte jak leje po pociskach oczy,
i osmoloną smutkiem twarz.
Ścisnęła kurczowo czerwoną walizkę w kolorze krwi,
wielką, jakby wiozła w niej całe swoje życie.
Na jej ramionach zwiślało kilka szmacianych toreb.
– Szukam noclegu na jedną noc.
Zaprowadzę ją na Torwar – pomyślałam.
Po drodze, na ulicy Dragonów powiedziała, że miała dom i firmę.
Ale w jej dzielnicy nie stoi już żaden budynek, a ziemia jest płaska.
Jej podróż była długa i straszna jak rzeka Doniec.
Jechała przez trzy dni, i trzy noce, pociągami, i busami,
nazw miast nie pamięta.
Na ulicy Kawalerii pozwolila mi nieść jej torby, ale tylko te mniejsze.
Na miejscu uśmiechnięci wolontariusze i ochraniarze
zaprosili nas do rejestracji.
W jadalni starsze ukraińskie kobiety zrobiły nam
miejsce przy stole, i otuliły ciepłymi słowami.
Przyniosłam z baru darmową zupę, herbatę i ciasteczka.
– Zjedz ze mną, prosila. Nie mogłam.
W gardle miałam ołowianą kulę,
a na sercu jakiś dziwny ciężar.
Lodowisko zamieniło się w morze kobiet,
dzieci, połowych łózek, wózków dziecięcych i walizek.
– Może wolisz do Nadarzyna?
– Zostanę tu, czuję się tu bezpiecznie.
Na pożegnanie pierwszy raz się uśmiechnęła,
a jej oczy wypełniły się spokojem, nadzieją i wdzięcznością.
Złożyła ręce jak do modlitwy, pochyliła głowę i powiedziała
– Dżakuju, thank you, dziękuje.

Warszawa, marzec 2022

Kazimierzu Mój

Witasz mnie spichlerzami delikatnych uczuć,
białą koroną zamku wieczności,
dotykając nieba basztą, która wydaje się strzec także i mnie,
i lazurową rzeką życia z jej białymi jak tańce brzegami.
Patrzysz na mnie rodową dzwonnica, która dzwoni
[jedynie w moim sercu,
koisz mnie cudowną madonną klasztoru, aniołami fary

i tajemniczą Świętą Anną.

Szmaragdowymi Pierwszymi Górami opowiadasz mi bajki

[o siedmiu córkach

i siedmiu domach moich przodków.

Otulasz mnie Górą Krzyżową z jej amonitowymi ścieżkami wspomnień.

Uśmiechasz się i rumienisz renesansowymi kamieniczkami,

puszysz się rynkiem – pępkiem Twojego świata.

Mówisz do mnie ciszą i gwarem „Ponderosy”

[na Miejskich Polach mojego dzieciństwa.

Nad niewidzialnym kirkutem przy szkole i ścianą płaczu w Czerniawach

szepczesz głosami kolegów z podwórka mojego ojca i kum mojej babci.

Wtedy chwiejesz moją absolutną wiarę i miłość do Ciebie i Niego.

Kazimierzu Mój...

Kazimierz Dolny, 02.11.2021

Anna M. Saczuk

Dziewczynka w szmaragdowej sukience

Powiewają falbany i kosmyki
Pomimo upału szaleje
Na karnie wystrzyżonym trawniku
W Canning Fort
Jej mama kryje pod parasolką
Brązową skórę
Opalenizna wydobyłaby chłopskie pochodzenie
A ona przecież
Jest z wysokiego rodu
Co innego dziewczynka
Jest w szczęśliwym wieku
Kiedy nie musi
Stale myśleć o swoich atutach

Singapur, luty 2025

Bez tytułu

Pękła tama
Woda zaląła
Moją uprawną ziemię
Zasiane tarasowe pola
Dojrzewające w słońcu
Woda ustąpi, ja wiem
Może nawet użyźni się gleba
Może wyrosną na niej
Niespotykane dotąd okazy
Ale odtąd już zawsze
Czas będzie dzielił się
Na przed i po powodzi

Wiosna

Chłopak był w żółtym kasku
a ciało miał czerwone
chłopak był w żółtym kasku

a ciało miał zranione
chłopak był w żółtym kasku
a worek był niebieski

Czy rodzice będą szukać go od razu?
Czy zjedzą najpierw kolację?
Czy pójdą razem do kina?
Z kim kolację zje dziś dziewczyna?

Chłopak był w żółtym kasku
a ciało miał czerwone
a worek był niebieski
a ciało miał zranione

Chłopak był w żółtym kasku
barwa taka radosna
lzy dziewczyny ciepłe
jak ciepła jest dzisiaj wiosna

Chłopak był w żółtym kasku
a ciało miał czerwone
a worek był niebieski
a lzy dziewczyny zranione

Warszawa, maj 2025

Kawa z lisiczką

Ogrodowe meble w stylu francuskim najpierw spędziły dwa lata na tarasie przy sypialni. Kiedy nadeszła wiosna, a z mebli zniknęły czapy śniegu, postanowiłam, że komplet powędruje do ogrodu. Ale, ale! Nie w takie sobie zwykle miejsce – pod śliwę. Jednak czas mijał, drzewo okryło się białymi kwiatami niczym panna młoda, potem pokazały się liście, a ja niemal zapomniałam o swoim pomysle. W końcu pewnego majowego dnia, kiedy słońce prażyło, ale porywy wiatru wciąż wspominały lodową zimą, przeniosłam stolik i krzesła z wyginanymi oparciami na dół i ustawiłam pod śliwą.

Przez chwilę cieszyłam oczy grą światłocienia na blacie.

Byłam zajęta się szykowaniem obiadu w kuchni, kiedy jakiś ruch ściągnął mój wzrok. Spojrzałam i oniemiałam. Za sięgającym niemal do ziemi oknem

ujrzałam rudą istotę z wielką, puszystą kitą. Nie chciałam wierzyć własnym oczom – lis w środku miasta! Z moich ust musiał wyrwać się bezwiednie okrzyk, bo lis zatrzymał się, stanął na tylnych łapach, przednimi zaslonił sobie oczy i zajrzał do środka przytykając swój czarny, mokry nos do szyby.

– Hej, ty! – Zmartwiłam się, że pobrudzi szybę, którą dopiero co umyłam. Niewiele myśląc wybiegłam na taras i stanęłam przed lisem, ujmując się rękami pod boki, niczym jakaś wiejska gospodyni.

A co na to lis?

Wzruszył ramionami i postukał się pazurem w czoło.

Ze zdumienia chyba otworzyłam usta – to chyba sen?

– No co? – ziewnął lis – lisa żeś pani nie widziała?

– Lisa widziałam – wyszeptalam suchymi z emocji wargami – ale nie gadającego!

– Tam do katal – parsknął lis i uderzył się łapą w udo, po czym opadł na cztery nogi.

– A już na pewno nie przeklinającego lisa! – Opanowałam już zdenerwowanie graniczące z pewnością, że lis musi być wściekły.

– Jestem pełnoprawnym użytkownikiem języka! – Obraził się lis i powłócząc kitą po ziemi, ruszył w stronę mojego stolika w stylu francuskim. Zatrzymał się przed krzesłem z wyginanym oparciem, odwrócił się i spojrzał na mnie z uznaniem.

– No, no – mruknął z aprobatą – widzę, że mamy gust!

– Gust może i mamy, ale czy ty nie masz wściekizny? – wypaliłam, instynktownie przechodząc na „ty”.

Lis tymczasem wskoczył był na krzesło, usiadł jak człowiek i wymościł się wygodnie. Końcówka ogona zwisała mu niemal do ziemi.

– Ha, ha, szanowna pani raczy żartować! – Lis odchylił głowę do tyłu i w uśmiechu pokazał wszystkie zęby. Znów uderzył łapą w udo, po czym spoważniał. Naraz pochylił się w moją stronę zniżając konfidencjonalnie głos – Dysponuję nawet książeczką szczepień, czy mam okazać?

– Nie, w sumie nie trzeba! – całkiem straciłam rezon. – Nie będę takich atrakcji fundować swoim gościom! – ugryzłam się w język w nadziei, że umknie to jego uwadze: jeśli lis był gościem, to raczej nieproszonym. Nic z tego, słuch miał najwyraźniej doskonały. Ale przynajmniej udobruchałam go oficjalnie włączając w poczet gości.

Z zadowoleniem mlasnął językiem i znów pokazał zęby, tym razem przednie, po czym rozejrzał się dookoła pańskim okiem.

– Ładnie tu! – rzucił od niechcenia. – Będę częściej wpadał. A tymczasem, pani wybaczyć! – westchnął – obowiązki wzywają.

Lekko zeskoczył z krzesła na cztery łapy i zrobił kilka kroków w głąb ogrodu. Naraz zatrzymał się, jakby mu się coś przypomniało.

– Wiem, wiem – mruknął w moją stronę – ukłony dla małżonki i te rzeczy! Szanowna pani się nie martwi, przekażę!

Jego ruda kita zamigotała wśród drzew. Po chwili zostałam całkiem sama.

W oknie dachowym domu bok zamajaczyła głowa sąsiada.

– Cześć, jesteś z kimś? – zapytał przyjaźnie.

– Nie – wzruszyłam ramionami.

– Jakbyś z kimś rozmawiała... Wydawało mi się, że słyszę gwarę warszawską!

A więc lis-warszawiak. No, ładnie.

Kolejne dni zatarły wspomnienie tego bądź co bądź niezwykłego spotkania. Czy to wszystko mi się tylko śniło? Wzrok sam uciekał w stronę okna, żeby sprawdzić, czy nie ma tam lisa. Nie było.

Robiło się coraz cieplej. Maj zanurzył się w wiosennej aurze, a zielen buchnęła jeszcze mocniej świeżymi liśćmi.

Pewnego popołudnia usiadłam na wygrzanym od słońca krześle. Słychać było tylko delikatny szum wiatru w gałęziach śliwy i buczenie trzmieli. Trawy poruszały się w lekkim tchnieniu powietrza.

Przymknęłam oczy, może nawet – o zgrozo! – przysnęłam.

Naraz poczułam dotyk w okolicy łydek.

To pewnie kot, pomyślałam, choć nigdy nie miałam kota.

Jakieś zwierzę znów otarło mi się o nogi, po chwili dotyk ustał. Otworzyłam oczy. Na ziemi koło mnie nie było kota, ani w ogóle żadnego innego zwierzęcia. Za to kątem oka dostrzegłam kitę o białym koniuszku zwisającą z krzesła obok. Powiodłam wzrokiem po długim ogonie w górę. Siedział sobie jakby nigdy nic. A może – siedziała?

Ta istota najwyraźniej zaliczała się do płci pięknej. Czepiec w kratkę obszyty koronką, łapki oparte o rączki koszyka leżącego na kolanach jak torebka.

Ten widok otrzeźwił mnie w jednej chwili. Lisiczka spojrzała na mnie z zaciekawieniem i kurtuazyjnie skinęła głową.

– Dzień dobry! – Głos miała aksamitny, głęboki i miękki. Przyglądałam się jej w milczeniu.

– Dzień dobry – w końcu odzyskałam mowę.

Lisiczka nie spuszczała ze mnie wzroku.

– A mąż mówił, że dosyć kumata. Jak zawsze przesadzał!

Potrząsnęłam głową, do reszty wybudzając się z letargu. Chciałam, żeby i ona uznała mnie za „kumatą”.

– Bardzo miło mi panią poznać – wyciągnęłam dłoń do lisiczki i uściśnęłam podaną mi łapkę. – Może kawy? – zapytałam, podnosząc się z krzesła.

Chyba trafiłam w jej gust, bo koszyczek z kolan powędrował na stół, a ona sama wymościła się na krześle wygodniej.

– Tylko z mlekiem bez laktozy, a najlepiej – z owsianym!

Stałam jak wryta. No, no, całkiem nowoczesna ta lisczka!

Kiedy wróciłam pod śliwę, niosąc dwie filiżanki kawy, zobaczyłam tylko puste krzesło lisczki. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie zostało po niej ani śladu: na stoliku stał porzucony koszyk.

Usiadłam nad parującą filiżanką. Owionął mnie zapach świeżej kawy, od którego pierzchyły resztki senności. Objęłam dłońmi filiżankę, jej ciepło przyjemnie rozgrzewało dłonie. Zamknęłam oczy, a inne zmysły się wyostrzyły. Oczyma wyobraźni zobaczyłam nadbiegającą lisczkę, na nodze poczułam muśnięcie miękkiego futerka. Zaczynałam się do tego przyzwyczajać. Kiedy ponownie otworzyłam oczy, lisczka już siedziała na krześle, lekko dysząc przez otwarty pyszczek.

– A mleczko? – zapytała z przyganą.

Uderzyłam dłonią w czoło.

– Oczywiście, przepraszam, już przynoszę – sumitując się, rzuciłam się z powrotem na stronę kuchni, ale zatrzymała mnie wątpliwość.

– Cukru też pani życzy? – warszawska gwara udzieliła się i mnie.

– Skąd, złociutka, toż to biała śmierć!

– Mam też cukier trzcinowy! – odparłam, dumna z szybkiej riposty, wskazującej na znajomość stanu spiżarni.

– Trzcinowy, trzcinowy... – przedrzeźniła mnie lisczka. – Coś pani taka pewna? Zrób se pani taki teścik: zalej se pani kilka łyżeczek tego swojego trzcinowego cukru wrzątkiem, ino w szklance, żebyś widziała, jak farba się wypłukowuje... A potem mi pani powiesz, czy jestotnie cukier trzcinowy to był...

Zbita z tropu poszłam po mleko owsiane, a kiedy wróciłam z dzbanuszką w dłoń, lisczka, siedząc wciąż na krześle, na przemian prostowała i wyginała tylnie łapy, okraszając ten ruch dziarską komendą: „Point, flex, point, flex!”. Przypomniały mi się grupowe zajęcia z aerobiku, na które chodziłam na studiach. Ogarnęła mnie irytacja, że lisczka tak się przede mną przeży i popisuje. Czy ona nigdy się nie zatrzymuje?

Zatrzymała się, a jakże, ale tylko po to, by mnie poinformować:

– Wiek już nie ten, dlatego korzystam z każdej wolnej chwili, żeby pobiegać lub przynajmniej zrobić mały stretching. Zwłaszcza, kiedy ktoś pilnuje mi koszyka albo idzie po mleko! – zaśmiała się zadowolona.

Elegancko, acz dynamicznie chlusnęła mlekiem do filiżanki, odstawiała dzbanuszek na stolik, po czym zajrzała mi głęboko w oczy.

– A cóżes pani taka osowiała i siedzisz jak na tureckim kazaniu tudzież na szpilkach? – zainteresowała się. – Pokręć no stópką na lewo i potem na prawo. Krążenie ważna rzecz! Wiem, bo żem ostatnio takie rolkie na Insta

widziała – z koszyka wydobyła smartfon i stuknęła pazurem w ekran, ale to już po tym, jak strzeliła do telefonu minę o ponętnych ustach na użytek systemu rozpoznawania pyska.

Faktycznie, jakaś instagramerka opiewała zalety kręcenia stópką jako antidotum na problemy z krążeniem oraz żylaki. Czy mnie się tylko wydawało, że spod rudej grzywy wyzierał spiczasty pyszczek?

KLUB TENISOWY ¹

ABSURDALNA SZTUKA TEATRALNA W IV AKTACH

(początkowy fragment)

Postaci w kolejności ukazywania się:

TADZIO – świetny tenisista, kiedyś niezły zawodnik, obecnie głównie popija, mężczyzna w średnim wieku z lekką otyłością, zawodowo biznesmen, prywatnie mąż Zosi.

PANI MARTUSIA – była kierowniczka stołówki na politechnice, kucharka w klubie tenisowym, starsza pani o nieświeżym wyglądzie i wiecznie przetłuszczonych włosach spiętych w chudą kitkę.

JULITA – sprzątaczką, tleniona blondynka w średnim wieku, niezwykle elokwentna, z wrodzonym podejściem managerskim, tzw. naturszczyk.

ALEXANDER VEL ALEX – tenisista i członek klubu, wiceprezes polskiego oddziału zagranicznej korporacji, z pochodzenia austriacki góral, wysoki szatyn w średnim wieku.

ZOSIA – tenisistka, żona Tadzia będącego członkiem klubu, współwłaścicielka firmy, długowłosa, okazała szatynka.

TOBIASZ – tenisista i członek klubu, mężczyzna w średnim wieku, otyły, niewylewający za kołnierz i eksperymentujący z używkami, w życiu zawodowym człowiek parający się różnymi biznesami, w tym prowadzi w klubie wyszynk.

HENIO – tenisista i członek klubu, mężczyzna w średnim wieku, wysportowany i szczupły, w życiu zawodowym biznesmen.

¹ Odbiorca przyjmuje do wiadomości, że wchodzi w stworzony przez autorkę świat na własną całkowitą odpowiedzialność. Lektura została uznana za wysoce nieodpowiednią dla osób nieletnich, łatwo gorszących się, a także nieodpornych na przejawy przemocy werbalnej, stereotypy, postawy i zachowania patriarchalne, narcystyczne i seksistowskie oraz ksenofobię. Wszelkie podobieństwo do osób i miejsc jest niezamierzone i najzupełniej przypadkowe.

PAWEŁ – członek klubu, niegrający już w tenisa ze względu na niezwykłą tuszę, mężczyzna w średnim wieku, utrzymujący się ze swoich dawnych biznesów, żyje dla jedzenia.

CARMEN – tenisistka i żona Henia, szczupła i wysportowana Hiszpanka bez wieku, blondynka, w życiu zawodowym prezes polskiego oddziału dużej firmy hiszpańskiej.

JURO – tenisista i członek klubu, szczupły mężczyzna na finiszu wieku średniego, w życiu zawodowym emeryt, a może nawet rentier, wdowiec, ojciec dwóch dorosłych córek.

MAGDZIA – tenisistka, kochanka Jura, z zawodu prawniczka, młoda subtelna brunetka, po mieście przemieszcza się na motorze w skórzanym kombinezonie, czym porusza wyobraźnię członków klubu.

STASIEK – tenisista i członek klubu, mężczyzna w średnim wieku, właściciel charakterystycznych dla byłych piłkarzy nadzwyczajnie umięśnionych łydek, w życiu zawodowym biznesmen, żonaty z dwójką dzieci.

MATEUSZ BARSZCZEWSKI VEL BARSZCZU – tenisista i członek klubu, starszy mężczyzna z lwią grzywą srebrnych włosów, emeryt, w czasach komunizmu najlepszy krawiec w mieście, żonaty, z dorosłą córką mieszkająca za granicą.

MAREK PIÓRKOWSKI VEL PIÓRKO – duży wysportowany mężczyzna w średnim wieku, siwe włosy, okulary, trochę staroświecko ubrany, w życiu zawodowym architekt, żonaty z dwójką dorosłych córek.

MACIEJ DORBZYŃSKI VEL HRABIA – faktycznie z pochodzenia arystokrata, mężczyzna w średnim wieku, w życiu zawodowym zajmuje się interesami, z których większość odnosi spektakularną klapę, którą to finansuje ze sprzedaży rodzinnych nieruchomości tudzież dzieł sztuki, stanu wolnego.

CIENKI – trener tenisa, starszy, szczupły szatyn o ograniczonej energii życiowej, w klubie zajmuje się grafikami i przyjmuje wpłaty, ponoć żonaty, ale małżonki nikt na oczy nie widział.

KURIER DHL

AKT I

Sala główna w budynku klubowym, po lewej stronie sofa. Na środku w głębi sceny znajdują się okna, za którymi widać korty. W głębi z prawej strony stół, krzesła oraz blat barowy, za nim wejście do kuchni z drzwiami wahadłowymi. Na prawej ścianie drzwi do toalety i korytarz do szatni.

Słoneczny, letni poranek. Na każdej powierzchni płaskiej walają się butelki i kieliszki oraz sterty talerzy z resztkami jedzenia. Z zewnątrz dobiegają odgłosy piłek tenisowych odbijanych na kortach.

Z sofy rozlega się chrapanie, widać zarys leżącego na plecach mężczyzny, którego wyprostowana w tokciu ręka zwisa nisko nad podłogę.

Przez drzwi z prawej, powłócząc nogami w rozklepanych, szmacianych butach, wchodzi starsza kobieta, Pani Martusia, grubawa, w dresowych spodniach i staromodnej bluzce; siwe, tłuste włosy zebrane w chudą kitkę, kilka kosmyków wisi wzdłuż bladej twarzy, na nosie brzydkie okulary. W rękach dźwiga siaty pełne wiktuałów.

PANI MARTUSIA, *staje na środku pomieszczenia, rozgląda się dookoła, mówi do siebie*

O, Jezuniu, ale nazostawiali! Ciekawe, kto to będzie sprzątał przed tur-niejem, bo na pewno nie ja! Do sprzątania żem się nie najmowała! Rozlega się gwałtowniejsze chrapnięcie, pani Martusia z przestachu podskakuje wypuszczając z rąk siatki. Po podłodze rozsypują się jabłka i pomarańcze

A ten pijus znowu śpi! Jak ta bidna Zosia z nim daje radę! Pani Martusia powoli obniża pozycję ciała, aż łąduje na kolanach i zbiera owoce do siatek, z trudem podnosi się z kolan i znika za barkiem w kuchni

Do pomieszczenia wchodzi kobieta w średnim wieku, Julita, blondynka o milej aparycji, w rękę krzepko dzierży mop na kiju, w drugiej plastikowy wór na śmieci pełen pobrząkującego szkła. Wór odstawia za barek, szkło głośno szczęka, od czego gwałtownie porusza się śpiący na sofie mężczyzna. Julita zabiera się do ścierania podłogi, na widok butelek na stole i blacie baru zatrzymuje się jak wryta

JULITA, *do siebie*

Tutaj też? O, Matko Boska, ileż oni tego wypili?

Opiera mopa o ścianę, sięga z powrotem za barek po worek plastikowy i pakuje do niego puste butelki, chce wynieść dwa wory na zewnątrz. W drzwiach wpada na wysokiego szatyna z brzuszkiem. Alexander wchodzi do sali.

ALEXANDER, *na widok bałaganu krzyczy z wściekłością, z wyraźnym niemieckim akcentem*

Was? Scheisse! ² Co to, kurwa, jest?!

Na ten okrzyk mężczyzna śpiący dotąd na sofie budzi się i siada gwałtownie. Wodzi dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Próbuje się przeciągnąć, ale lewa ręka, która zwisała na ziemię, jest bezwładna. Wydaje z siebie okrzyk bólu.

TADZIO, *bełkocze*

Ożeż kurwa! Zmartwiała mi ręka, nie czuję ręki!

ALEXANDER, *do Tadzia, niepoprawną polszczyzną*

Cicho, ja teraz wołam, twoja żona!

² *Was? Scheisse!* – niem. dosł. Co? Gównno!

ALEXANDER, *krzyczy w kierunku kortów, przykładając do ust dłoń ułożoną w tubkę, niepoprawną polszczyzną*
Sophie, twój mąż cię potrzebuje!
Do Tadzia
Co, znowu picie było?

TADZIO, *nieco przytomniejszym głosem, ale ręka dalej zwisa*
A... bo słuchałem się audycji tego profesora Urbańczyka, co to napisał książkę o wczesnej Polsce. Według niego za szybkim rozwojem wczesnego państwa polskiego stoją władcy pochodzenia obcego, łącznie z Mieszko II!

ALEXANDER, *śłucha oniemiały*
*Was?*³

TADZIO, *z obrzydzeniem*
No właśnie! Słyszałeś to? Jakby Polacy sami nie mogli się zaorganizować, tfu! Importowani królowie! No to pilem z chłopakami, żeby zatrzeć niesmak, bo nie dało się tych bzdur słuchać! Całkiem inaczej uczyliśmy się w szkole!

ALEXANDER, *milczy oniemiały*
TADZIO, *jakby naraz zdał sobie sprawę, z kim rozmawia, macha ręką*
Ale akurat z tobą to ja o tym nie będę rozmawiał!

ALEXANDER, *zaciekawiony*
*Sag mal*⁴: *Professor Urbańczyk? Muszę poczytać!*

Alexander wyciąga z kieszeni szortów telefon komórkowy, chichocze złośliwie, potrząsa głową i wchodzi do łazienki po prawej stronie
Od strony kortów wpada zdyszana, czerwona na twarzy zażywna jejmość z rakiętą w dłoni, to Zosia, żona Tadzia

ZOSIA, *zła, do nieobecnego Alexa*
Naucz się w końcu: po polsku Zosia!
Do Tadzia, z lekkim niepokojem
Co się stało?

Widząc niewładną rękę Tadzia, rzuca rakiętą, biegnie do męża i zaczyna masować jego ramię

Ty wariacie, tak się kończy spanie po pijaku byle gdzie, znowu zmar-twiało ci ramię! Zaraz początek turnieju, jak ty będziesz teraz grać?

³ *Was?* – niem. Co?

⁴ *Sag mal* – niem. Powiedz.

TADZIO, *bełkocze nieskładnie*
Co ty mi tu... Bo profesor Urbańczyk...

ZOSIA, *ze zrozumieniem*
A było to Urbańczyka znowu słuchać! Jak cię tak denerwuje, nie słuchaj
jego wywodów!
Po kilku chwilach masażu Tadzio porusza ręką,

TADZIO *bełkocze zniecierpliwiony odpychając Zosię*
No idź juuuż, wystaaarczy, nie widzisz, że już doobrze?!?
*Zosia, na szczęście odziana w spódniczkę tenisową z wbudowanymi spodenkami,
niepolitycznie rozkracza nogi, siada obok niego na sofie i patrzy na niego z czułością.*
Z prawej strony, poruszając się ostrożnie na rozkraczonych nogach, wcho-
dzi dwóch mężczyzn, Tobiasz i Henio, z trudem taszczących plastikowy kontener
wypełniony chlupoczącym czerwonym płynem, w środku pływają kawałki owoców.
Tobiasz jest tysi, potężnie zbudowany, sapię pod ciężarem dźwiganego trunku i swojej
tuszy. Henio to szczupły, umięśniony mężczyzna w średnim wieku, z burzą czarnych,
falowanych włosów.

TOBIASZ, *stękając pod ciężarem kontenera*
Jeszcze trochę, jeszcze trochę, skręcaj, teraz podnieś!
Z wysiłkiem stawiają na stole kontener, z którego na stół wychlapuje się trochę czer-
wonego płynu. Stoją przez chwilę sapiąc, wyraźnie dumni z siebie. Tadzio ociera dłonią
pot z czoła, a potem te same palce wkłada do kufuży wina na stole, obлизuje palce.

TOBIASZ, *cmoka z wyraźną lubością*
Dobre!
Henio nalewa sobie płynu chochelką do plastikowego kubka i kosztuje, mlaska,
krzywi się
Brakuje jeszcze cukru! Powiedz pani Martusi, żeby dosłodziła, trzeba
dosypać cały kilogram cukru, sangria musi być naprawdę słodka! Ja tymcza-
sem idę zobaczyć, ile par turniejowych już przyszło.
Wrzuca zużyty kubek do worka na śmieci za barem i wychodzi

TOBIASZ, *do siebie*
Kilogram cukru? Dobre sobie, to za dużo!
Klepie się po dużym brzuchu
Trzeba trochę zacząć dbać o siebie!
Niemitym tonem krzyczy w stronę kuchni, z akcentem na ostatnią sylabę
Martaaa!
W drzwiach kuchni za barkiem pojawia się pani Martusia, w brudnym fartu-
chu, z nożem w ręce i jabłkiem

TOBIASZ, *gromko, z przyganą*

Marta, nie masz co robić? Po co te jabłka obierasz? Głucha jesteś?

Owoce już moczą się w winie od godziny! Sangria już gotowa!

Pani Martusia macha ręką, robi płaczliwą minę, cofa się do kuchni

Tobiasz, *krzyczy za nią przykładając rękę do ust, ale niezbyt głośno, oglądając się z obawą w stronę okna, żeby Henio nie usłyszał*

Cukru za to dosyp! Dwie pełne cukiernice, tylko nie więcej!

Tobiasz idzie śladami Henia na dwór. Pani Martusia wychodzi z kuchni z białym pojemnikiem w dłoni. Wyraźnie pociąga nosem, pochlipuje. Człapie do kontenera z winem, wycierając sobie dłonią oczy pod okularami.

PANI MARTUSIA, *do siebie*

A taki był miły na początku! Mówił: przyjdź, na kuchni się znasz, do emerytury sobie dorobisz! A teraz co? Jak kuchnię pierwszą lepszą mnie traktuje, a ja przecie szefową stolówki na politechnice byłam!

Wysypuje zawartość białego pojemnika do wina, miesza chochelką, wraca do kuchni, powtarza czynność, po czym, wciąż pochlipując, znika w kuchni

Rozlega się odgłos splotczki toaletowej. Alexander z telefonem komórkowym w dłoni wychodzi z WC.

ALEXANDER, *wyraźnie zadowolony z siebie, poprawiając spodenki w kroczu*

Książka Professor Urbańczyk: *bestellt*, zamówiona! Teraz będę czytał o tych Polakach! To ja zawsze mówiłem, że tu twarda ręka potrzebna!

Wkłada telefon do kieszeni szortów, podchodzi do kontenera, rozgląda się na boki, szybko sięga po chochelkę, ale w tym momencie do pomieszczenia wlewa się rzeka roześmianych tenisistów.

Alexander odskakuje i udaje, że rozmawia z Tadziem.

Tenisiści stoją na środku małą grupką, rozgrzewają nadgarstki, robią wypady, kręcą kółka biodrami. Wyróżnia się para ciasno przytulona do siebie: Madzia, młoda ciemnowłosa kobieta o karminowych ustach i Juro, starszawy siwy blondyn, szczupły, o bardzo jasnej skórze.

Na końcu pojawiają się Henio i Carmen, piękna blondynka z papierosem w dłoni. Henio bezceremonialnie zdejmuje z głowy Tobiasza czapeczkę z daszkiem i wysypuje doń zawinięte papierki

HENIO, *głośno i wyraźnie*

Witamy was bardzo serdecznie na dziesiątej edycji turnieju tenisowego Carmen Cup!

Tenisiści wiwatują, biją brawo

HENIO, *z udawaną przyganą w głosie*

Carmen, zgaś papierosa i przywitaj wszystkich!

CARMEN, *wydycha ostatni haust dymu, gasi papierosa na talerzyku na barze,
uśmiechając się ciepło, łamaną polszczyzną woła rozkładając ręce*
Witam, wszyscy!

HENIO, *wzdycha lekko do Carmen*
Ech ty, nigdy się nie nauczysz!
Do wszystkich, gromko i radośnie
A teraz: losowanie! Każda pani losuje sobie partnera do gry w dzisiejszym spotkaniu.

HENIO, *żartobliwie, podchodząc z czapeczką z losami do każdej z pań,*
Proszę się częstować, papieru nie żalować!
Panie po kolei wyciągają karteczki i czytają nazwiska partnerów. Madzia i Juro z żalem odklejają się od siebie, ona jak małe dziecko macha mu ręką na pożegnanie.

MADZIA *do Jura, bezgłośnie*
Pa pa!
Madzia podchodzi do Staska, wystrzyżonego na jeża mężczyzny o niezwykle umięśnionych łydkach, pokazuje mu paperek z losowania. Juro podąża za nią krok w krok, jakby nie był w stanie się od niej odłączyć.
Stasiek ochoczo kiwa głową i śmieje się, nie przerywając sobie rozgrzewki nadgarstka: wciąż kręci rakieta młynka.

HENIO, *ocierając dłonie jedną o drugą na znak wykonania zadania*
Kości zostały rzucone, powiedział mąż rzucając chudą żonę! A więc:
losowanie zakończone, zażaleń nie przyjmujemy!

MADZIA, *prychając cicho, na stronie*
Też szowinista!

JURO, *przemawia z czułością gładząc ją po policzku*
Nie przejmuj się, ty mój wrażliwcu!

HENIO, *wskazując kontener*
Aby wszystkim dobrze się grało, zgodnie z regulaminem turnieju wejście na kort tylko po spożyciu odpowiedniej ilości sangrii, minimum jedgek kubek! Zapraszam zatem do spełnienia tego szlachetnego obowiązku!
Tenisisci podchodzą do Tobiasza, który chochelką nalewa wino do kubków plastikowych

TOBIASZ
Proszę bardzo, bardzo proszę! Czy wszyscy mają już pełne kubeczki?

A teraz: do dna!

Tenisści wychylają wino, wszyscy naraz zastygają, kilka osób w pozycji z głową do tyłu, kilka w pozycji wyprostowanej, po czym wszyscy naraz wypływają wino z powrotem do kubków krzywiąc się straszliwie i prychając.

HENIO, również prycha

Bleee, co za obrzydlistwo! Kto wsypał soli zamiast cukru!

TOBIASZ *który wypija całą zawartość kubeczka mimo soli, ryczy w stronę kuchni*

Marta!

Do Henia Nie martw się, mogę z tobą pojechać po nową partię wina! Tylko musimy wziąć taksówkę, bo ja wczoraj wieczorem zrobiłem podkład pod tą sangrię i już nie mogę prowadzić!

KURTYNA

Sala klubowa, popołudniowe słońce za oknem szybko zakrywają czarne chmury, rozlega się grzmot. W kącie przy stole siedzi niezwykle gruby, zwałisty mężczyzna, Paweł. Pani Martusia wychodzi z kuchni i zamaszystym ruchem kierowniczką stołówki politechniki z czasów komunizmu rzuca na blat baru talerz wypełniony po brzegi mięsiwem i ziemniakami.

MARTUSIA, *obcesowo, wysokim, nieznoszącym sprzeciwu głosem*

Kurczak z ziemniakami raz!

Zastyga na chwilę, patrząc na Pawła

PAWEŁ, *tonem łagodnego upomnienia, ale zdecydowanie*

Pani Martusiu, pani mi tu grzecznie do stołu poda!

Martusia z ciężkim westchnieniem wychodzi zza baru. Dwa tłuste kosmyki kotyszą się jej po obydwu stronach twarzy, drepcze z pochyloną głową przesuwając stopy w kapciach po ziemi, niosąc talerz w stronę Pawła, po czym, nie mogąc sobie tego odmówić, tym samym, co przed chwilą zamaszystym ruchem, rzuca talerz na stół. Talerz sunie po stole. Paweł zatrzymuje go tuż przed sobą, najpierw z dezaprobatą kręci głową patrząc na Martusię, a po chwili ze smakiem zabiera się do jedzenia

PAWEŁ, *mlaszcząc*

Pani Martusiu mmmm, jeśli pani tak miła, mmmm, co jeszcze mmmm-
mm pani ma?

MARTUSIA, *wzdycha, a potem wylicza na palcach patrząc ku górze*
Pomidorową i koperkową, mielone z frytkami i młodą kapustą i ruskie,
tfu, znaczy galicyjskie pierogi

PAWEŁ, *oblizując usta*
Wyśmienicie! Poproszę!

MARTUSIA, *spogląda na Pawła ze zdziwieniem*
Którą zupę i które drugie danie?

PAWEŁ, *udaje zdziwienie*
No jakże to, pani Martusiu... Poproszę wszystko, co pani wymieniła.
A przy okazji, żeby pani dwa razy nie chodziła: co na deser?

MARTUSIA, *wznosi oczy ku górze, wylicza na palcach*
Budyń z sokiem, sałatka owocowa, szarlotka na gorąco z lodami waniliowymi i naleśniki z serem i bitą śmietaną

PAWEŁ, *przełyka, po czym macha widelcem z szerokim uśmiechem*
O to, to! Poproszę!

MARTUSIA, *pyta pro forma, zna już odpowiedź*
To który deser podać?

PAWEŁ, *niezrażony, radośnie*
Wszystkie! A do tego dwa piwka! Ma pani kasztelana?

MARTUSIA, *nadal bezceremonialnym, wysokim głosem. Ostatnie zdanie wypowiada mocno i dobitnie*

Jest na zapleczu w tej maszynie na monety, co to w niej piwo zamiast wody i sprajta macie. Ale do tego to pięćdziesiątka potrzebna!

PAWEŁ, *nie przerywając jedzenia, z trudem sięga do kieszeni, przechylając się na bok z powodu tuszy, wyjmując portfel, podaje pani Martusi*

Poszuka tam pani tej piątki czy dwóch, i zapłaci sobie przy okazji za obiad, dobrze?

MARTUSIA, *przymilnie, na widok portfela zapalają się jej oczy*
Oczywiście, panie Pawle, już się robi!

Nieco żwawiej drecze z portfelem w rękę do kuchni.

Z zewnątrz dobiega grzmot i słychać uderzenie ulewy.

Po chwili do sali klubowej wlewa się tłum rozbawionych tenisistów z raketami, zmoczonych rześzystym deszczem. Są wyraźnie pod wpływem sangrii, lekko się zataczają, niektórzy z nich wciąż z kubkami w dłoniach, rakiety trzymają pod pachą.

(...)

Jadwiga Siwińska-Pacak

w potrzasku poranka

bywają takie noce i sny baśniowe
gdy niespodziewanie rodzi się fraza
olśniewająca
jak nocny motyl o skrzydełkach
błyszczących pistacjowo

rankiem szukam jej nerwowo
w niedoświadczonych historiach
znajduję usiłuję zapisać i...
czy to ona ta sama

taka płaska bezbarwna
jakby uszło z niej życie
a przecież moja...

i moja kartka papieru
czysta

Tanka na rozstaju

na butach
nitki babiego lata
telefon milczy
agrafką spinam pamięć
niedokończonych rozmów

jacy tacy...

jesteśmy solą tej ziemi milczący ciszą cmentarzy
przezroczyściami złączeni czy ktoś nam zabroni marzyć?

niepokorniśmy z natury i powstający z niebytu
ale niech no się niektórzy własnej chwały niedosyty
ośmieli wdrapać na sam szczyt ziomkowie już nie wybaczą
zawyję zawiści skowyt znajomy wszak nie inaczej

zdarza się wbrew zazdrośnikom sukces czleka wywyższony
szczególnie gdy za granicą dają nagrody ukłony
wówczas należy już uznać a nawet szczerze docenić
wszak wspólnym dobrem ojczyzna solidarnością się mieni

jestemy solą tej ziemi milczący ciszą cmentarzy
przezroczyością złączeni niech nam nikt nie broni marzyć!

będzie jutro

bezbronność nie odda ciosu
co zrobisz w bezradności wobec
potęgi wszechrzeczy

idąc pod wiatr odwróć się
plecami dla chwili relaksu
z dłońmi w kieszeniach

pozapinaj guziki i podnieś kołnierz
osłaniaj oczy daszkiem czapki
mocno naciśniętej na czoło

wszystko ma swój czas
cisza odwilży i sen sprawiedliwego
wystarczy przeczekać

dla kogo piosenka

dla kogo twoje serce zmienia rytm
i mruczy nad ranem
sopranem
gdy ja wieczorem pomrukuje tenorem

wiosenny zapach ziemi zaprasza
do lasu zawczasu
szumiącego obietnicami
że pobiegniemy sami

gdy chybotałowa łódź nabiera wody

i wszystko się rwie kto wie
czy wiatr nie wywróci do góry dnem
tego co było snem

niech mnie już nie budzi twoja nieobecność
niech nareszcie wiem że twoje serce dla mnie
zmienia rytm i mruczy nad ranem
sopranem

Zupa na twarzy

Siedziała na wózku inwalidzkim i uporczywie się we mnie wpatrywała. W trzęsących się dłoniach kurczowo trzymała niewielką reklamówkę z ziemniakami.

– Nie poznajesz mnie, panienko? – zapytała, próbując uchwycić moje przedramię prawą ręką. Jej lewa ręka niestety nie utrzymała reklamówki i ziemniaki potoczyły się pod nogi osób stojących w kolejce. Zrozumiałam, że staruszka zwracała się właśnie do mnie.

– A powinnam panią poznać? – zapytałam, zatrzymując spojrzenie na wychudzonej twarzy, pokrytej pomarszczoną skórą o ziemistym kolorze. Tylko oczy agresywnie błyszczwały.

– Nie pamiętasz Bakowej, panienko?

– Coś takiego, pani Bakowa? – wyjąkałam z trudem, bo zakręciło mi się w głowie. „Przecież ludzie tak długo nie żyją. To niemożliwe” – powtarzałam w myślach jednocześnie zaczynając liczyć czas. „Przecież miałam wówczas zaledwie dwadzieścia lat, a ona była już kobietą bardzo dojrzałą. Nigdy nie dociekałam jej wieku, bo kiedy człowiek ma lat dwadzieścia, to każdy po trzydziestce jest stary i nie zasługuje na głębszą refleksję. Skoro więc teraz ja mam lat sześćdziesiąt plus, a ona przed czterdziestu pięciu laty miała, na moje oko, pięćdziesiąt? O, cholera! Może mieć dziewięćdziesiąt pięć z nawiązką, więc jednak to może być ona. Ale jaką ma pamięć, bo przecież dla mnie czas również się nie zatrzymał!”.

Ludzie w kolejce zwrócili na mnie zaciekawione oczy, jakby wyczekując dalszego ciągu tego nieoczekiwanego spotkania. Stałam osłupiała i bezradna z głupią miną osoby zaskoczonej ponad miarę. W pamięci zaś pojawiły się obrazy odległych lat, czasów, jak niektórzy powiadają, słusznie minionych.

* * *

To było osiedle, blokowisko. Jedna z wielu mazowieckich sypialni dla proletariatu zasilającego stołeczne zakłady pracy przelomu lat sześćdziesiątych

i siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Niektórzy mieszkańcy Ozorowa nie musieli dojeżdżać. Na miejscu były trzy okazale przedsiębiorstwa gospodarki socjalistycznej. Dojeżdżanie do pracy w stolicy było jednak pewną nobilitacją. Dawało ponadto komfort nie uczestniczenia w kołtuńskim klimacie sąsiedzkich plotek, pomówień i domysłów. Uniezależniało również od relacji sąsiedzko-rodzinnych. Praca na miejscu miała natomiast tę zaletę, że można było wyjść z domu na dwadzieścia minut przed jej rozpoczęciem, bez stresu z powodu ewentualnego opóźnienia pociągu, jednym słowem człowiek mógł się spokojnie wyspać. Wadą zaś była konieczność codziennego przebywania z tymi samymi ludźmi w pracy, w sklepie, w kościele i na językach.

Pewnego dnia przed laty stałam spokojnie w kolejce po drugie danie. Bakowa z nabożeństwem nakładała na płaskie talerze kolejno: ziemniaki, marchewkę z groszkiem oraz kotlety mielone (standardowe menu stolówek tamtej epoki) nieznacznie okraszając ziemniaki topioną słoniną. Kiedy nadeszła moja kolej, a stałam jako ostatnia, sięgając po talerz i mierząc mnie od góry do dołu, ze skrzywioną miną rzuciła od niechcenia: – A cóż to panienka dzisiaj taka błada, czy ktoś nie daje się wyspać?

Wytrzymałam tę złośliwość oraz spojrzenia osób jedzących w małej salce przy portierni, do której obiady były przywożone z pobliskiej kuchni przyfabrycznej, gdyż w naszym biurowcu nie było stolówki pracowniczej.

Kiedy talerz z drugim daniem trzymałam już w rękach, spojrzałam spokojnie na twarz Bakowej.

– Dlaczego pani jest dla mnie tak bardzo niemila?

Bakowa wyprostowała się i oparła dłonie na biodrach, unosząc głowę z wyższością:

– A bo co, panienko!

Nagle wszyscy umilkli. Udawali, że pochylają się nad talerzami, ale aluminiowe sztucce znieruchomiały w ich rękach w powietrzu jakby w półzawieszeniu. Stałam nadal spokojnie, bacząc na zawartość talerza oraz obecność stolowników.

– Pani Bakowej nie grozi już błądź o poranku, bo to jest przywilej wieku – powiedziałam i zajęłam wolne miejsce przy stoliku pod oknem.

Mijały kolejne dni stolówkowych spotkań. Bakowa swoim zwyczajem rządziła zawartością kotłów obiadowych, traktując uprzejmie osoby utulowane oraz zwierchników. „Panie inżynierze, może dolewka zupy?” – mówiła przymilnie. Innym razem znówu: „Pani kierowniczo, dołożę pani troszkę więcej kaszy gryczanej, wiem, że pani lubi”. Miała szeroki repertuar sposobów na przymilanie się. „A panu magistrowi dam więcej skwarek, bo to już dziś końcówka...”.

W godzinach pracy często spotykałam Bakową plotkującą ze sprzątaczkami. Gdy przechodziłam obok, odwracała się ostentacyjnie, a rozmowy przybierały ton szeptanych sekretów. Nadszedł któryś z kolei dzień złośli-

wości Bakowej. Wiosenna zieleń podniosła nastroje ludzi. Uśmiechnięci wchodziliśmy grupą do sali jadalnej, a koledzy uprzejmie ustępowali paniom pierwszeństwa w kolejce. Byłam tego dnia wiosennie radosna.

– Ale panienka dziś wystrojona, a przecież podwyżek pensji nie było – wyrecytowała Bakowa, widząc mnie dziś pierwszą z talerzem.

– Uprzedzam panią, że kiedyś nie wytrzymam i wyleję pani na twarz całą zupę, biorę wszystkich tu obecnych na świadków.

* * *

Widok starego człowieka na wózku inwalidzkim wzbudza odruch niesienia pomocy. Tak było i ze mną tym razem. Patrzałam na Bakową samotną w tłumie ludzi, z których każdy ma swoje sprawy do załatwienia na tym osiedlowym bazarku, a pośpiech nie zatrzymuje ich na dłużej. Jedynie starcy mają dużo czasu i smutek w oczach. A gdy pojawi się ktoś obcy albo swój dawno niewidziany – ożywają się, patrzą i chcą koniecznie porozmawiać.

Dzień był słoneczny z lekkim wiatrem porywającym pierwsze żółte liście tej jesieni. Siwowłosa staruszka miała na sobie popielaty prochowiec, który lata świetności miał już dawno za sobą, tak jak jego właścicielka. Podobnie buty – rozdeptane mokasyny. Obraz daleki od tego sprzed lat: kobiety silnej i zaradnej. „Czy ja też będę tak wyglądać?” – nagle przeraziła mnie taka myśl.

– No, co tak stoisz jak ten słup soli, panienko?! – głos Bakowej wyrwał mnie z zamyślenia.

– W czym mogłabym pani pomóc? – zapytałam, zbierając do reklamówki rozsypane ziemniaki.

– Jeszcze muszę kupić kawalek słoniny – wyjąkała, nie odrywając ode mnie oczu. – Zawsze tutaj kupuję, bo dowożą codziennie świeże mięso.

Gdy już kupiła słoninę, ułożyła siatkę z zakupami na kolanach, aby wolnymi dłońmi móc poruszać kołami wózka.

– A ty, panienko, skąd się tu wzięłaś po tylu latach? Przepadłaś jak kamień w wodę, od nikogo wiadomości – cedziła drżące słowa, kręcąc głową bezwiednie.

– Pani Bakowa, kto jak kto, ale pani nie miała powodu tęsknić za moim towarzystwem, przecież mnie pani nienawidziła i do dziś nie wiem, za co?

Staruszka poruszyła się na wózku niespokojnie, odgarnęła z czoła kosmyki włosów i ocierając zalzawione oczy, wyszeptała:

– Kiedyś w nocy przyszedł do mnie, panienko i wylałaś mi na twarz zupę pomidorową, strasznie czerwona była ta zupa, jak krew. Pomyślałam wtedy, że to pewnie ta moja złośliwość nierozgrzeszona. Dopytywałam ludzi o ciebie, bo chciałam przeprosić. Minęło tyle lat, dziękuję Bogu, że cię spotkałam.

Mocno ścisnęła moje dłonie.

Krystyna Sobich

Matka

W aureoli srebrnych włosów
siedzi natchniona
jakby na chwilę zastygła.
Śpi?
W ręku makatka i igła
wokół na dywanie kordonki
jak kwiaty wielobarwne
rozsypane
na trawie niebiańskiej łąki.
I tyle w niej spokoju
że nie śmiesz się poruszyć
jak motyl z krainy marzeń przybysz
co zamarł wśród kwiecia makatki.
To Madonna z obrazu
kazała mu tam pozostać
żeby skrzydełkami nie zbudził
mojej matki

Helenka

Helenka nasza matka droga
Wyprasza laski nam u Boga
Jak zwykle cicha siwowłosa
Makatką zdobi dziś niebiosą

Modlitwa

Ojcze nasz
który siedzisz wygodnie
w swoim niebie
daj nam dzisiaj
odnaleźć właściwą drogę
byśmy przestali błdzić
i obwiniać Cię o każdą biedę
chleba naszego powszedniego

daj głodującym dzieciom
wszak i one
przyszły na świat z Twojej woli
przecież jesteś Wszechmogący
nad matką umierającego dziecka się pochyl
i przekonaj ją jeśli potrafisz
że taka jest właśnie Twoja wola
Boże miłosierny
przymnóż wiary w to że jesteś
miłością swą otocz
nadziei ziarno zasiej
i spraw bym już nigdy
w Ciebie nie wątpiła
Amen

Rozmowa liryczna po 50 latach małżeństwa

ONA

Podziwu pełna i tkliwości
Patrzę na Ciebie jak przed laty
Z sercem nabrzmiałym od miłości
Zapytam cicho chcesz herbaty?

ON

Tyle lat wspólnych uleciało
Kiedyś a teraz to dwa światy
A wciąż mi Ciebie w życiu mało
Tak moja miła, chcę herbaty

Tomasz Sysik

Jeszcze

Jeszcze pomilczymy
Pośród krzyków spojrzeń
Wrogich myśli ukrytych
Pod płaszczem człowieczeństwa

Jeszcze utoniemy
W klótni serc gorejących
Wydzierając ciszy
Falszywy akord rozsądku

Jeszcze powalczymy
Bijąc ciosem półprawd
W twarz odbitą w lustrze
Łez przemykających ukradkiem

Jeszcze słowem przemówi
Wyrzut sumienia
Pióro po zmiętej kartce
Zatańczy pomiędzy palcami

Jeszcze mamy czas
Wciąż młodzi jesteśmy
Jeszcze pożyjemy
Gniewem nasyceni

Jeszcze wybaczyć zdążymy...

* * *

Ty i ja
Nieślubne dzieci kłamstwa
Współ nienawiści
Podaliśmy ręce
Zarówno w Twoich
I moich oczach

Ta sama zbrodnia
Całkiem niby inni
Lecz w sercach
Ten sam zamieszkał oblęd
Ty strzelasz
Ginie mój brat
Ja strzelam
Ginie Twoja siostra
Ni Twoich ni moich
Czerstwych łez
Palec skleiony do spustu
Nie posłucha
Rozpalony karabin
Przemówi wieszczym hukiem
Echo odpowie
Krzykiem zabitych dzieci
Anioł czy diabeł
Modlitwy nie dopelni
Oddechem dymu prochowego
Nasze dusze mrok strawi
Rodzina przebaczy
Lecz historia przeklnie
Zza szkolnego biurka
Z pogardą pytając
Dlaczego?

Elżbieta Szeptyńska

Gniew

Nie śnię o lepszym świecie
wystarczy bosą stopą mierzwić
zroszone trawy o świecie
słuchać dysputy ptasiej gawiedzi
poczuć na dłoni puls starodrzewu
zrozumieć filozofię pszczoły
i świętojańskiego robaczka
cisnąć w przestworze z burzową chmurą
gromy i błyskawice
Praojciec nawykły do walki
obyty z zapachem posoki
zostawił ślad – naskalne malowidła
może tak nieświadomie próbował
uwolnić swój gniew
Historia jest lepka od krwi
opłata glob czarny woal
Nie śnię o lepszym świecie.

Jak ptaki wędrowne

Z krain, gdzie spalona słońcem Matka Ziemia nie rodzi,
gdzie zawodzi zaklinanie deszczu, a każda kropla jest
bezcenna,
gdzie głód i nędza, przemoc, rzezie międzyplemienne
i krwawe reżimy trzymają straż, a strach o życie
paraliżuje,
sunie lawina współczesnych nomadów w poszukiwaniu
„zielonych pastwisk”.

Jak ptaki wędrowne, opuszczają gniazda wybierając
desperacką podróż przez Mare Mediterraneum.

W łodziach, w pontonach, na barkach
przemierzają nieujarzmione szlaki morskie
czerpiąc moc z wyobrażeń o jasnej przyszłości,
nadsluchując w szumie fal obietnic dżungli wielkich miast.

Zazdrośni bogowie mórz ściągają haracz
i łowią dusze w odmęty, a te na dnie, pod
przymkniętymi powiekami nadal snują swój Złoty Sen.

Wtóruje im śpiew wielorybów.

Klepsydra

W ogrodach Jerozolimy śpiewałeś Dawidzie:
„Dni człowieka są jak trawa;
kwitnie jak kwiat na polu:
ledwie muśnie go wiatr, a już go nie ma,
i miejsce, gdzie był, już go nie poznaje”.
Zamilkła lira.

Z dłoni na dłoń strużka piasku. Klepsydra.
Nie trwożę się. Nie lękam.

Jeszcze nieraz przetoczy się pod nieboskłonem Dziewiąta Beethovena,
jeszcze zachłysnę się zachodami słońca, obejmę stary kasztan,
odpowiem na dźwięczne „pit-pi-lit” przepiórkom wędrownym
[w trawach.

W zgodzie z czasem, otulę się w szare od zmroku powietrze,
a spadającej gwiazdzie wyznam życzenie.

Potem wyruszę na spokojne wody.
Niech niosą.

Plemię

Nie tym co bluźnierczo wymachują krzyżem atakując
eter patriotycznym belkotem, przepasani
wstęgą pychy, nierzadko głupoty,

bardziej tym, którzy mówią powściągliwie i do rzeczy,
ufam.

Jednak trudno dociec prawdy. Nie skosztowałam
z Drzewa Poznania.

Wierzę w drzewo dźwigające barć i bogactwo rojnych pszczół,
żałosną skargę cielęcia u boku padłej lani,
donośny śpiew ranionych dziewiczych puszczy,
grozę i majestat ośnieżonych górskich szczytów,
zagniewany przybój oceanu...

Wierzę w Opatrzność, która uchyla rąbka tajemnicy,
powierzając nam swoje cuda.

Ludzkość?

Jak szczenięta. Głuche i ślepe plemię.

Iwona Świerkula

Adama wciąż nie ma

gotuje obiad
wywar bulgocze
obok Kainek z Abelkiem
pierwsza krew się polala
Ewa przymyka oczy
czy to prawda że Bóg
wkleił kobietę w dom
a mężczyznę w drogę
zobacz Adam goni jelenia
napina mięśnie przeskakuje uskoki
po powrocie na ścianie namaluje zwycięstwo
to lepsze od tapety
przy wejściu do jaskini
szumi stara jabłoń
przejrzale owoce spadają
zaraz Ewa je pozbiera i zrobi szarlotkę
kiedyś pod tą jabłonią stanie cmentarz
pelen Ablów
ostrzą się kamienie
prototyp broni niepalnej
Adam nie wraca
znów trzeba będzie krzesać ogień
aby podgrzać zupę
za spóźnienie nie dostanie gazety i kapci

powroty nie zawsze są oczywiste
wciąż jakaś Ewa woła
ale nikt nie wie
za którym echem jest Adam

Kaplica Sykstyńska

zanim stałam się dawaniem
zbierałam
wystarczy kilka centymetrów
by utracić raj

o ironio
na suficie Adam nigdy nie dotknie Boga
śmierć opróżnia kieszenie
jest perfekcjonistką
gdy rozebrałam się z siebie
częstuję tym czego nie mam
i następuje
rozmnożenie

Ogródek

z jednym drzewem
taki mały a taki duży
ze stołem z gośćmi
pachnie szumi skrzeczy
szkoda że kos co śpiewał jeszcze w zeszłym roku
przeniósł się za sąsiada
przy pielaniu wyciska poty
ale kawa smakuje tu lepiej
zimą zamknięty bielą ale zawsze pod ręką
czeka z Ewą na wiosnę
aż to jajo słońce zamknięte w dzień
pęknie i przeleje się w czerwień
zanim cisza zaśnie w miękkim fotelu
Ewa stanie na progu
rozłoży ramiona
i uleci

Lidia Troć

Jestem

Jestem skąd stamtąd
Urodziłam się tam
W tym domu z kolumnami
Z tarasem odwiedzanym przez dziecióły
I wróble
Obserwowałam je godzinami
W domu pod lasem z drogą nad rzekę
Z historią wielu pokoleń
Aż pewnego dnia rozwiązałam umowy
Zabrałam Ojca i odeszłam
Z domu który miał swoje tajemnice
Którego mury teraz umierają
Czas go pokonał
Czy jestem bezdomna bez domu rodzinnego
Czy korzenie odnajdą mój nowy dom
I przeniosłam do niego stół okrągły rozkładany
Krzesła i szafki na pokręconych nóżkach
I przedwojenne haftowane przez Babcię makatki
Barometr Dziadka
I portrety
Teraz już mam nie tylko w sercu
Zasiadamy do Wigilii przy okrągłym stole
A na nim zastawa sprzed dziewięćdziesięciu lat
Talerze aż kręcą się chcąc opowiadać historie

Droga

Ona
Idzie drogą grzęznąc w błocie
A za Nią ciągnie się jej warkocz
Wymachuje torebką chcąc przyspieszyć
Stawia kroki z zaznaczeniem każdej sekundy
Chciałaby tupać
Lecz buty zatapiają się w tym co już było
Rozsznurowuje
Przytula bosymi stopami mokre kamienie

Przeskakuje z jednego na drugi
Rozsuwa zamek torebki
Dźwięk podaje Jej lustro
Usta lśnią kolorem

Rejs

Żeglujesz przez życie
Mgła góry lodowe
Czyste morze
Metr po metrze
Wiatr mroźnych słów
Czy dzień czy noc
Minuty godziny chwieją się na fali
I jest
Zatoka Wielorybów
Jeszcze brzegu nie widać
Gdzie zacumować
Wwiercić się świdem w lód
Zrzucić żagle
Wchodzisz na odkryty skrawek życia
Żeby zaczerpnąć nowe słowa
Ale na twój biegun południowy
Droga jeszcze do odkrycia
Spotkasz wybuchające lawy emocji
Wulkanu Erebusa
Tylko nie daj zmrozić się spojrzeniom

Powiedziałś

Powiedziałś że nie jesteś słowem
Że obrazem
Czy takim utkany z nut
Z ruchu smyczka na strunach skrzypiec
Z pieszczot talerzy perkusji
A ja widzę w Twoich oczach
Głębię słów
Widzę jak słuchany tekst piosenki
Rysuje grymasy na twarzy
Rzeźbi Twoje ciało zaciska dłonie

Tak jesteś obrazem
Wrażliwa i delikatna
A głęboka jak słowa Herberta
Piękna na strunach nurtu rzeki
Stała choć w ruchu
Zamknięta przy otwartych okiennicach
Słyszę twój kolor i bezgłośnie drżenie ust

Warszawa

Zobaczyłam ją wczoraj w światłach nocy
Z lotu drona
Rozbłyskała kolorami zmysłów
Dotyków światel miejskich murów
Obrazów neonów i próżności
Widzę ją dzisiaj w świetle dnia
Klomby pełne róż
Róż na twarzach kobiet
Podobno dużo szczurów
Rzeka łśni
Płynie sennie wyciągając się bezgłośnie
W prośbie o deszcz
Wykopy przekopy korki
I znowu noc
Spacerzy kochanków na bulwarach
Dzwonki tramwajów
Tańczą światła samochodów i telefonów
Jazz na dachach z zapachem whisky
Świta
Wschód słońca nad bazyliką
W domach smutki i radości jeszcze
W sennym letargu
Takie jest moje miasto
Moja Warszawa

Mira Umiastowska

Sobie a ludziom

Z dwojga podróży *Homo Viatora*, myślę sobie
która jest lepsza, na zewnątrz czy do środka

i która jakie pożytki przyniesie, ku ziemi świętej
na oczyszczenie, czy do natury wewnątrz człowieczej

i czy nie spuchnę nadto w chwale bazyliki
gdym rozdam duszę w cudowne rozmnożenie

lub zniknę w sobie coraz mniejsza i mniejsza
to w którą stronę bardziej ta podróż – nie wiem

to stoję, a droga pusta ode mnie do ciebie
niesie mnie niesie... i znosi

17 marca 2025, 4h55

Pod słonecznikiem

Joseph Presmane, *Suche słońca*,
1957, 61/50cm, olej/plótno

Staął człowiek pod słonecznikiem
myśli – słońce, opala się
Tym skuteczniej kwiat go

obsypie ziarnem, dobrobytem
nakropi witaminą D i zdrowiem
myśli sobie – *cool* jest

Im bardziej stoi w posmaku lusek
głaszcze lodygę ostrą i liście
pod płotem odtąd – dotąd

Gdy przekroczone inne granice
obowiązuje krem z filtrem – śmieszny
jak zakaz słońca

Łuszcza się płatki na amunicję
Maluje artysta nim opadną skruszone
gdy stoi człowiek pod słonecznikiem

wręcz obiektywnie – liczy na ziarno
Ze słońca

28 marca 2025

Arena

Maria Wollenberg-Kluza,
Quo vadis, olej, płótno 120x105, 2013

Quo vadis clownie? Myślisz że cię nie rozpoznam,
Bo schowaleś (czerwony) do kieszeni spodni
Nos – rumianym policzkom podobny jak krawat;
Pstrykasz w palce z talentem, zgaduję imiona,

Które grasz na arenie, wodząc za nos publikę;
Kpiąc z cynicznym uśmiechem, że łatwo sterowna:
Starczy upaść, by wzruszyć, postraszyć tygrysem
Od parteru po balkon, a z trapezu na linie

Dać popis i piruet w za dużych trzewikach
Na piaszczystej arenie; patrzę, twój cień tańczy;
Oprócz nosa wypchane kieszenie wynosi

Na zupełnie inny kapitel, I znika,
Niezgodnie z partyturą ni z prawem fizyki,
Sobie a osłom nikt nie zwraca za bilet...
17 października 2024

Ośle waluty

Syn Jot pije – Jot leczy kaca
Syn Jot gra – Jot widzi Las Vegas
Syn inwestuje – utwardza się
serce Jot na pomnik
Bóg szybko dojrzał i odszedł

Ojca nie znała
(a może to był Prometeusz?)
Jot nie śpi Struga

jak Gepetto chłopca z drewna
Lis i Kot zasadzają nowy *Kryżysk*
Pe wierzy w obietnice dni
sześciu świątecznych
i siódmej niedzieli

Spoleczeństwu na Wyspie
odrastają wciąż Krypto Uszy
Chciało wykraść bogom Hosę
Trzeba kosić
Kokos spada na głowę

1 kwietnia 2024

Ondulacja na barana

Rozbłędzona
niewierna związkowi
frazologicznemu
„czarna owca”

Wstyd przynosi i czarnemu
gdy biała
farbuje mezalians
wybiela zdania i wełnę

Trafia owczym pędem
w czarnego barana
a jaki jest baran
każdy widzi

A ona znów „czarna owca”
choć biała...
rozbija związek o... *Man...*
na czarne *ManOwce...*

20 grudnia 2022

Dwa przystanki

czyli opowieść z Duchem

Zadziwiające, jakie znaczenie można przypisać znakom. Przy czym, nie chodzi tu o znaki po ukąszeniach, na przykład leśnych pajęczków podczas zbierania majowej pokrzywy, uporczywie śwędzących zaczerwienień. Chodzi raczej o, być może, niezwykle zbiegi okoliczności, tak zwane koincydencje. Ale niektórzy mówią, nie ma zbiegów okoliczności, jest tylko ciąg zdarzeń. Oczywiście przyczynowo-skutkowy...

– ...albo ręka boska, co prowadził – skonfigurował się Duch. Wytrysnął rezolutnie, pojawiwszy się ślizgiem. En podrapała śwędzące miejsce na podgarstku.

Ciąg zdarzeń, które wymagają czujności, uważności, wtedy dopiero możemy rozpatrywać je jako system znaków, by odczarowywać znaczenia. Przeważnie jednak nie dostrzegamy ich, mijamy. Potem dziwimy się, skąd się to wzięło.

– Jakże *to?* – zahaczył Duch.

– No to, zwyczajne – odparła. – To albo owo, ale na owo też nie zwracam uwagi. Przeważniejemy.

– Jak to przeważniejemy?! – zareagował znów – przecież to się pisze osobno: przeważnie jemy! – zatriumfował. En poczuła się zakłopotana, bo jak ma mu wytłumaczyć, że to taki neologizm, takie własne sformułowanie na przeważność, zwykłość, powtarzalność. Niezauważalność. Zauważyła jednak jego czujność, zwłaszcza że Duch przecież nie jada, no chyba że karmi się... czym się karmi Duch, jej Duch? No może na razie mniejsza z tym.

Bliskie spotkania z Duchem zawsze sobie ceniła, chociaż charakter trudny. Przyznaje, ostatnio zaniedbała. Ta praca z wydawaniem książki! Negocjowanie z wydawnictwami, niezdrowe chorowanie... – Się! znowu absurd! A czy jest chorowanie zdrowe? A?

Zignorowała. Jakoś ciężkawo było jej z nim się ścierać. Niech ma. Dość jednak, że uporczywie przeszkadza.

Wracając do znaków i nieznaczeń (– I odznaczeń – dogadał. Zignorowała.), które jednak zapadają w pamięć, tym bardziej, im bardziej niezrozumiałe, zadziwiają. Jeśli się nimi kieruje, umiejętnie odczytuje, może jest łatwiej?

– Ale przeważniejemy – dogadał szybkouczący się.

En pomyślała o śniadaniu. Dzień był pochmurny. Przeleciał ptak. Nic niezwykłego. Tylko to, co do załatwienia. Trudne rozmowy i opłaty, od czego zacząć. W pułapce mysz. Jednak, nie. Zwiąła. W końcu to stworzenia

inteligentne. Szybko się uczą. Wydostawać. W końcu to pułapka dla żywych. Chyba dobrze, że wreszcie ktoś z inteligentnych wpadł na pomysł, żeby nie zabijać. Skonstruował pułapkę, w której mysz tylko truchleje. Myszy też ludzie, pomyślała.

– Wróćmy jednak do tego tramwaju? – zmitygował Duch.

– Jakiego tramwaju? – zareagowała – nie przypominam sobie, żebym wspominała coś o tramwaju.

– Aaa... no jakby ci tu powiedzieć, no wiesz – krygował się i wiercił – przecież wiesz.

En przypominała sobie oczywiście ten słodki szczebiot dziecka, w drugim wagonie trzynastki, na odcinku Ratusz Arsenal – Kino Femina. Rozejrzała się wtedy po tramwaju, nie znajdując właściciela głosiku, choć tramwaj pusty. Wróciła do swoich rozmyślań, między innymi dlaczego tak podle odebrano jej kino Femina. Dlaczego zrujnowano prywatne sklepiki na rzecz rozplewionych Biedronek i plag Żabek, przeistoczono poczesne miejsce kultury w źródło konsumpcjonizmu, czyli zamieniono głowę i ducha na, z całym szacunkiem dla potrzeb, ale jednak – brzucha. Takie tam... Tramwaj zatrzymał się. Na wzmiankowanym przystanku wsiadł mężczyzna z synkiem o szczebioczącym głosiku, jakby kontynuującym szczebiot jadący dotąd. En rozejrzała się po raz drugi, zdziwiła po raz pierwszy. I nic. Tyle. Dziwne zjawisko niepokodowe. Głosik kontynuował szczebiot. Do Wola Ratusz.

Zdziwienie En kontynuuje podróż.

A może trzeba było pozamieniać kulturę na spożywcza? W końcu jak myszy rozmnożyliśmy się. Nie wiadomo tylko, jak zwać z tej inteligentnej pułapki – dla żywych.

– Dałabyś spokój, płaczesz na rozlanym kinem, a przecież masz jeszcze drugie studyjne. Kiedy ostatnio byłaś w Muranowie? No kiedy?

En zamyśliła się. Dwa lata temu po seansie lało, a parasolki, jak zwykle, w samochodzie.

W kuchni pachniała bazylia. Parowała woda na herbatę. Może dzisiaj Yunnan? Ma znaczenie?

maj 2023

Piotr Wilczkowski

* * *

Dziś wiersza nie będzie – będzie wyciszenie
Bo nie ludźmy się, że można bogactwo wyobraźni
[zamknąć w zwykłe słowa.
Ci którzy próbowali doskonale wiedzą
jak niewielką część tego co czuli wyraziła mowa.

To samotność każe nam przywoływać do siebie drugiego człowieka
Liczyć na współczucie, litość, wsparcie, podziw, zrozumienie
Zazwyczaj głupia naiwność podpowiada – próbuj!
Sugerując, że lekarstwem na dramat bezradności może być –
[czyjeś życzliwe spojrzenie.

Do czego człowiekowi drugi potrzebny jest człowiek?
Co rekompensuje nam jego pogodny uśmiech, czy podanie ręki?
Czy nie jest wielką uludą, że twe życie zmieni – nie ty sam ale ktoś obcy
Przywołany słowami nuconej przez ciebie piosenki?

Więcej uczucia niż w kierowanych do kogoś słowach
[kryje się w milczeniu
Poezją może być porozumienie z tymi co słyszą milczenie.
Komuś kto umie żyć w samotności niepotrzebne słowa.
On i tak stworzy wiersz – a tym wierszem będzie wyciszenie.

22.03.2025

Kolorowe liście berberysu

Padalo. Było zimno, szaro i ponuro. To chyba właśnie taką pogodę spisy idiomów, czy może słowniki frazeologiczne nazywają – pogodą pod psem. Człapałem leniwie czując jak przemakają mi buty.

– Kira, wracamy! – powiedziałem do swojej suki. Ja wiem, że ty kochasz spacerki, ale ten dzisiejszy to nie był dobry pomysł.

– Oj tam, oj tam! – pomerdała mi ogonem biszkoptowego Labradora i pobiegła w krzaki.

– Kira, czy ty musisz udawać durnia? Jest wstrętne. Krzyknąłem widząc jak znika wśród kolorowych liści berberysu. Kira wylaż. Pokaleczysz się a przed deszczem to cię i tak wcale nie uchroni.

Słyszałem jak buszuje w głębi żywopłotu ale znikła mi z oczu. Wynurzyła się po długiej chwili. Obsypana listkami i z potarganym futrem wyglądała jakby stoczyła zaciętą walkę. W pysku trzymała zdobycz.

– Kira co to jest? – zapytałem.

– No Malpa! – odpowiedziały jej śmiejące się oczy.

– No nie wygłupiaj się, to jest dziecięca zabawka. Zostaw. Ktoś to zgubił, albo wyrzucił. Jest mokra i wygląda okropnie.

– W domu się wysuszy i będzie piękna. Już jest piękna ale ty się nie znasz.

Przeglądałam się malej, pluszowej przytulance, którą moja suka już wyraźnie sobie przywłaszczyła. Próbowałem być konsekwentny.

– Nie będziemy tego nosili do domu ...

– Ja będę niosła!

– Jest podarta, zobacz wylażą z niej jakieś białe farfocle.

– To zacerujesz, przecież umiesz szyć.

Do domu mieliśmy spory kawałek drogi. Kira z miną triumfatorce dumnie niosła Malpę w pysku. Wysuszona i zacerowana wcale nie wyglądała dużo lepiej, ale stała się ulubioną zabawką Kiry. Traktowała ją, że szczególną atencją. Nie gryzła, nie tarposiła. Szanowała. Co więcej, zauważyłem, że ile razy miałem gorszy nastrój i skupiony byłem na sobie Malpa natychmiast znajdowała się pod moją ręką, albo przynajmniej w zasięgu mego wzroku.

Kira była zdania, że widok Malpy dobrze mi robi. Uważała, że poprawia mój nastrój, że wyrывa z apatii. Kończyło się to tym, że w takich chwilach przytulałam Kirę do siebie i mówiłem jej jakieś miłe słówka. Stworzyliśmy rytuał.

Marzena była lekarzem stomatologiem. Od kilku lat leczyłem u niej zęby. Lubilem w niej to, że korzystając ze swojej przewagi nad niemogącym się odzywać pacjentem, wszystkie moje pojękiwania, kwitowała krótkim:

– Cicho, wiem!

Mówiła to głosem Krzysztofa Kowalewskiego, który grając rolę pana Sulka, tak odpowiadał, na miłosne wyznania rozkochanej w nim pani Elizy.

Teraz, borując mając dolną prawą szóstkę, bawiła się tym samym żartem.

– Wiesz, co ja myślę, szanowny pacjencie? – powiedziała, kończąc robotę. Ja ci zrobię, na te twoje zęby, taką ochronną szynę. Ty tak mocno zgrzytasz, że je ścierasz i niedługo zniszczysz je do końca. I widząc moje zaskoczenie dodała – to nerwy. Wiem to dobrze, bo mi koleżanka na moje już taką ochronną szynę zrobiła.

Ujęła mnie tym. Zaprosiłem ją na dziękczynną kawę. Chętnie się zgodziła. Dwa dni później wybraliśmy się na wspólny obiad. Było miło. W rewanżu ona zaprosiła mnie do bardzo wytwornej restauracji. Tym razem było trochę pretensjonalnie, ale zaczęliśmy się spotykać.

Marzenka wielu swoich pacjentów przyjmowała po południu i dopiero wieczorami kończyła pracę. Cierpiała na tym Kira, bo przez te obiady z panią doktor zmieniły się godziny, ale też bardzo skróciły psie spacer. Koty Marzenki dawały sobie samodzielnie radę, ale z tego, co mówiła, też nie były zachwycone jej częstą nieobecnością. W jakiś miesiąc po pierwszym obiedku zaproponowałem, że kolację zjemy u mnie w domu.

Kira przywitała panią doktor wesołym merdaniem ogona, tym wesejszym, że jeszcze przed kolacją zabraliśmy sukę na spacer po pobliskim parku. Po powrocie wybaczyła nam zapachy. Wybaczyła smażone na maśle z zrumienionym czosnkiem krewetki, zupełnie zignorowała zapach białego wina. Znacznie gorzej znosiła jednak to, że tyle czasu poświęcam Marzenie i że nie ona, suczka, jest głównym obiektem zainteresowania. Co raz to ocierała się o moje nogi, kładła łeb na moich kolanach. Znosiła różne zabawki. W pewnej chwili, kiedy wróciłem z kuchni z lodami zauważyłem, że na dywanie leży masa białych klaczków, pogryziony korpus i odgryzioną głowę.

– Kira, zniszczyłaś Malpę! – powiedziałem z nieco teatralnym oburzeniem w głosie.

– Ja!? – popatrzyła na mnie wzrokiem pełnym zdziwienia i sarkazmu. – Ja zniszczyłam? No zastanów ty się, chłopie...

Halina Wnorowska

Szklany dom

Nad morzem szklany dom.
Ktoś miał fantazję taką.
Przez ściany wchodził świat,
przez dach się lało lato.

Podziałów wewnątrz brak,
po cóż podziały szklane.
Woalem były sny
wokół porozwieszane.

Gościł w nim ten i ów.
Ktoś z mirażu lub śnienia,
co serce miał na dłoni,
a w duszy nie miał cienia.

Przejrzysty szklany dom,
przejrzyste myśli, słowa.
Przejrzysta treść na wskroś.
Gdzie się zagubić, gdzie schować?

Rozstanie

Pośpieszna była rozmowa.
Rytm głosów jak stukot kół.
Marcowy wiatr targał plakat
Fellini *Osiem i pół*

Jeszcze szeleszczą wyrzuty,
w pamięci i ból, i gniew.
Sierocy fiołków bukiet
zapachniał emocjom wbrew.

A kiedy nastala cisza,
ni jedna nie spadła łza.
Odeszła z jutrem pod rękę.
Na rzece pękała kra...

Lubię deszcz

Lubię deszcz kiedy szumi.
Zasloną perlistą
wtapia się w zieloność.
Twój policzek blisko...

Lubię deszcz kiedy pluszcze
i po rynnach dzwoni.
Uśmiecham się do chwili.
Obrączka na dłoni...

Lubię deszcz bo nastraja.
Melodia się rodzi,
czas się leniwy staje.
Czułość nie zawodzi...

Lubię deszcz kiedy budzi
w bardzo wczesne ranki.
Chociaż sny nieprześnione
– zapach macierzanki.

Lubię deszcze spokojne.
Można z nimi gadać
i nieśpiesznie zwierzenia
w pamiętniki składać.

Gdy zasypiam przy tobie,
coś mi szepczesz do ucha.
Słucham cię z wody szumem,
a na pewno deszcz słucha.

Ośmielam się...

Twoja dusza na polu świetlistą,
a na polu buntem się okrywa.
Płyniesz, stąpasz gdzieś po uroczyskach...

Z czarnopiórym skrzydłem sprzymierzenie
interwałem przetacza się trwożnym,
gdzie kraina cieni, gdzie cierpienie.

Noc łzawego szuka wyciszenia.
Gdy tęsknota uderza orkanem,
sny darują słodkie uniesienia.

Poetycką frazą myśl czarujesz,
gdy przytulasz o Róży wspomnienia.
Pięknie piszesz... Pisząc – pięknie czujesz.

Czas skarb

Spieszy się jednostajnie,
odmierza dokładnie,
skraca przypadkowo.
Nadgryza bez pytania,
dotyk śladem znaczy.
Biegnać leczy rany
nobliscie i pani z kiosku.
Bezcenny, niezależnie
wleczę się, plynie
czy przecieka przez palce.
Przyszły i przeszły,
teraźniejszy – trudny do wyobrażenia.
Czy istnieje od zawsze i wszędzie?
Astrofizyk wątpi.
Nam się przydarzył,
w parze ze ślepym losem.

Spis treści

Wstęp (Piotr Müldner-Nieckowski)	5
Ewa Antolik	
O nic nie proszę więcej...	7
Oddalenie	8
Zagubione marzenia	9
Henryk Ditchen	
Ona oziębła	10
Moje myśli jak ptaki	10
Dłonie	11
Hanna Fołtyn	
Potop	12
Poeci	12
Leopold (proza)	13
Aleksandra Gliniewicz	
Ekfrazja do obrazów Doroty Sawickiej	25
Pogryziona przez pchły	25
Pierwszy bób (proza)	26
Jolanta Maria Grotte	
Ostatni dzień lata (proza)	28
Walentyna Karwowska	
Godzina dla ziemi	31
Razem	31
Terapia	32
Nie namawiaj	32
Rzecz o słowie (proza)	33
Rzecz o interpretacji (proza)	35
Grażyna Kasprzak	
Miejskie zoo	38
Samotność	38
Stary Syzyf	39
Wieża Babel	39
Joanna Kożan-Łazor	
Po deszczu...	40
Leżąc	40
Noc	40
Zaproszenie	40
Haiku	41
Być kobietą (proza)	41

Anna Kulesz	
zaczytanie	44
jeszcze na chwilę	44
migawka z Florencji	45
niedziela dla gości z Warszawy	45
Pająk fasola (proza)	46
Pierścionek z malachitem (proza)	47
Elżbieta Kurdej-Oklesińska	
Przy murze Barbakanu	48
Odpływanie	48
Śpiący na łące	49
Katarzyna A. Liszewska	
Literka 'Pe'	50
Ćma	50
Do Tłumacza	50
Dwa pytania	51
* * *	51
Alina Makówka	
Niebieski sweter	52
Zwierzenia siedmiolatka	52
Przesłanie do młodych matek	53
Wybór	53
Wierność	53
Fraszki	54
Anna Mikos	
Limeryki	55
Wiersz grudniowy	55
O nas	56
Alicja Nałęcz	
Impresje	57
Światła północy	57
Krystyna Obara-Morawska	
Łopiany cioci Kazi	59
Powiastka przy piecu	60
Przyjemności sensoryczne (piosenka)	62
Krystyna Rejniak	
Podsumowanie roku	65
Ścigam czas	67
Halina Roszkowska	
Przystanek	68
Nowy maj – list	68
Gablotka niewidzialnych	70
Katarzyna Rymaszewska	
Gdzie jesteś Tato	71
Kobieta z Charkowa	71

Kazimierzu Mój	72
Anna M. Saczuk	
Dziewczynka w szmaragdowej sukience	74
Bez tytułu	74
Wiosna	74
Kawa z lisiczką (proza)	75
Klub tenisowy (dramat)	79
Jadwiga Siwińska-Pacak	
w potrzasku poranka	88
Tanka na rozstaju	88
jacy tacy...	88
będzie jutro	89
dla kogo piosenka	89
Zupa na twarzy (proza)	90
Krystyna Sobich	
Matka	93
Modlitwa	93
Rozmowa liryczna po 50 latach małżeństwa	94
Tomasz Sysik	
Jeszcze	95
* * *	95
Elżbieta Szeptyńska	
Gniew.	97
Jak ptaki wędrowne	97
Klepsydra	98
Plemię	99
Iwona Świerkula	
Adama wciąż nie ma	100
Kaplica Sykstyńska	100
Ogródek	101
Lidia Troć	
Jestem	102
Droga	102
Rejs	103
Powiedziałś	103
Warszawa	104
Mira Umiastowska	
Sobie a ludziom	105
Pod słonecznikiem	105
Arena	106
Ośle waluty	106
Ondulacja na barana	107
Dwa przystanki (proza)	108

cd. na nast. str.

Piotr Wilczkowski

* * *	110
Kolorowe liście berberysu (proza)	111

Halina Wnorowska

Szklany dom	113
Rozstanie	113
Lubię deszcz	114
Ośmielał się...	114
Czas skarb	115

